



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KOBIETY SZWEDZKIE.

Szwedka jest, jak plemię całe, z którego pochodzi, zbudowaną silnie, wytrzymała na trud i nieposobiona do znośnienia go przez wychowanie, przez obyczaje swego narodu, zahartowanego do pracy, do walki z naturą północną, która tu zdaje się mocować z człowiekiem, sił jego próbując. Jak pod niebem południa potrzebuje on walczyć z przyrodą, aby go nie rozleniwiała, nie upoiła woniami, nie rozmarzyła czarem piękności swoich, wśród których nachodzą go sny uroczyste o bogach i boginiach zstępujących z niebios na ziemię, lub o synach ludzkich, porywanych z niej w błękitny przez orły cudowne, tak tu, przeciwnie, mocuje się on z nią i walczy o życie, o możliwość istnienia, hartując w sobie wśród tych zapasów ciężkich siły ciała i ducha. Kobieta, której od wieków i od wszystkich ludów dostała się straż domowego ogniska, podnosi się wśród warunków takich życia, skupionego więcej pod dachem siedziby rodzinnej, do godności i czci wyższej. Miejsce tych nimf i boginek, o których śnił pasterz grecki pod gwiazdą niebem swą uroczą ojczyznę, zastępuje tu kobieta silna i wytrzymała, co-to ognia strzeże i chleb przy nim piecze, strawę warzy i podaje ciepłą tym, którzy wśród chłodu północy potrzebują ogrzania — którzy poznają też lepiej wśród życia warunków trudnych znaczenie, i rodziny, i kobiety, która ją stwarza.

Ale niemniej mężczyzna rasy teutońskiej, rasy skandynawskiej, nie umie się pozbyć wobec kobiety pewnego grubiaństwa, które leży w jego naturze. Silny jest, muskuły ma żelazne, więc patrzy na nią słabszą z góry, z impozycją pewną; ona przecież spełniając u domowego ogniska obo-

wiązki swe niewieście, nie przykuwa się całkowicie do tej pracy, której znaczenie praktyczne dla rodziny i społeczeństwa zna, ale wie, że obok tego świata interesów materialnych istnieje jeszcze drugi — świat ducha, świat myśli i uczucia, światła i ideału, do którego każda istota ludzka ma prawo wejść, wiedząc, że jest tu, jak w królestwie bożem, miejsce i dla niej.

Fryderyka Bremer, kobieta niepospolitego umysłu, niepospolitego talentu powieściopisarskiego, a zarazem i wyższej wiedzy naukowej, pierwsza podniosła głos, wykazując, że dzieje się tu kobiecie niesprawiedliwość. Ona, która jest wychowawczynią dziecka, która jest towarzyszką życia mężczyzny na jego drogach trudnych, nie otrzymuje przecież tyle światła, aby, pojmując znaczenie powołania swojego, umiała się wywiązać dobrze z obowiązków włożonych na nią przez naturę: — „Więcej światła! więcej wiedzy o życiu i jego prawach, potrzeba nam, abyśmy byli dobrimi towarzyszami życia mężczyzny i wychowawczyniami synów naszych“ — napisała w znakomitej powieści swojej „Hertha“ wydanej w 1856 r. „Kobieta rządzi się teraz jedynie instynktem serca, uczuciem, ale nie zawsze to starczyć może w trudnych życia warunkach, i trzeba nam jeszcze rozumu, któremuby światło wiedzy rozjaśniało drogi obowiązków naszych. Jeżeli Rzym starożytny czcił już w Kornelii matkę synów swoich, znaczy to, że uznawał wpływ wychowania macierzyńskiego na mężczyznę, na społeczeństwo; czy przecież może się to stać jedynie zapomocą instynktu? Herta przedstawiała kobietę, której światło wiedzy ukazywało ścieżki życia proste i podniosłe, a ona szła niemi odważnie i spokojnie, bo wiedziała gdzie wiodą. Pisarka tego pokolenia, które już się wykształciło na poglądach i pogęciach głoszonych przez Fryderykę Bremer, Cecylię Collet napisała świeżo w uwagach swoich o rozwoju umysłowym i stanowisku kobiety szwedzkiej takie dzisiejszego jej położenia świa-

deństwo: „Szwedki stoją, w stosunku do innych kobiet Europy Północnej, może na najwyższym stopniu uznania i szacunku, świadczonego kobiecie przez mężczyznę jej społeczeństwa“. Choćby kobiety innej narodowości miały prawo postawić tu *veto* swoje i dowiedzieć, że ich stanowisko pod tym względem jest i było od wieków bynajmniej nie niższym od obecnego stanowiska Szwedki, niemniej słowa te dowodzą, że pozyskała ona sobie dość, aby czuć się zadowoloną i dumną zarazem.

Wszędzie, gdzie tak jest, świadczy to o rozumie i moralnej dostojności kobiety. Szwedka, nie pożądamy tego, co było przewrotem naturalnego porządku rzeczy, zdobyła sobie stopniowo to wszystko, czego potrzebuje istota ludzka, aby mogła żyć całą pełnią sił i obdarowań swoich. W 1845 r. przyznano córkom równe z synami prawo dziedziczenia majątku rodzicielskiego; w małżeństwie żona otrzymała zapewnioną sobie wspólność majątkową, a po śmierci męża połowę jego majątku. W 1863 r. pełnoletność kobiety została oznaczona tak, jak pełnoletność mężczyzny, na skończonych lat dwadzieścia jeden, gdy dawniej była ona małoletnią do lat dwudziestu pięciu. W 1872 r. przyznano kobiecie pełnoletniej prawo wyjścia z małżeństwa bez pozwolenia rodziców lub opiekuna prawnego; we dwa lata potem kobieta stawała się wolną w rozrządzeniu majątkiem, który jej był przez intercyzę ślubną przyznany, oraz zarobkiem pracy własnej. Oddawna, bo od 1734 r., posiada Szwedka owdowiała prawo opieki nad dziećmi swemi, co obecnie utrzymało się, z dodaniem jej przeciwko wdowie.

Od 1846 r. wolno jest kobiecie szwedzkiej prowadzić na własną rękę przedsiębiorstwa handlowe; w 1853 r. przyznano jej wolność słuchania wykładów uniwersyteckich, w 1861 dozwolono jej być organistą kościelną, w roku zaś przeszłym zapisywać recepty, jako lekarzowi. Możliwość nabywania wyższej wiedzy naukowej otworzyła jej się wraz

z urzędzeniem w 1861 r. wyższej szkoły nauczycielek w Stockholmie; w 1864 r. wzniesiono cały szereg szkół normalnych, i obecnie szwedzkie nauczycielki ludowe należą do rzędu najlepiej, najwyżej wykształconych w Europie. Obok tego niewieście „Stowarzyszenie Fryderyki Bremer“ pomaga rozwojowi wyższej nauki kobiet, zakłada gymnazyja z nauczaniem bezpłatnem dla niezamożnych, szczególnie, a nawet przeważnie, dla kształcących się nauczycielek. Rozalia Olivecrona, bardzo czynna w tym roku, podaje w ostatnim sprawozdaniu z działalności tych szkół niewieście, że w roku ubiegłym wyszło z nich 240 młodych kobiet z patentami nauczycielek w zakresie nauki gymnazyjalnej.

W 1870 r. otworzyły się dla kobiet dwa uniwersytety: w Upsali i w Lund, z prawem patentów na wydziale prawnym, lekarskim i sztuk pięknych. Przecież zawód lekarski, który w krajach innych leźnie przyciąga do siebie kobiety, tu, mimo wielu stypendyów przeznaczonych dla studentek, wydał dotąd tylko dwie praktykujące na tem polu doktoriki. Idę Widerström i Fryderykę Biorck, zajmujące się chorobami kobiecemi.

Kobiety uczęszczają w Stockholmie do Szkoły Przemysłowej, do Akademii Sztuk Pięknych, do Konserwatorium Muzycznego, do rządowej szkoły gymnastyki, do szkoły telegraficznej, a wszystkie te zakłady są dla nich otwarte bezpłatnie. Zamożne sfery towarzystwa uważają sobie za obowiązek obywatelski wspomagać pracę kobiety, która nietylko podnosi poziom moralności ogólnej, ale i ogólnego dobrobytu. W 1874 r. bogata pani z wyższej arystokracji, baronowa Adlersparre, założyła „Towarzystwo robót ręcznych w zakresie artystycznym“, które, kopiując w tych robotach wzory starożytne, wyrabia bardzo piękne i bardzo poszukiwane przedmioty z działy sztuki stosowanej do przemysłu. Pracują też kobiety w zegarmistrzostwie, w wyrobie przedmiotów złotych i srebrnych, które czelują; malują i rysują na szkle, wyrabiają rękawiczki, obuwie kobiet i dzieci, grzebień, oprawiają książki i w wielu innych gałęziach przemysłu otrzymują zajęcie chlebobdajne. Telefony rządowe są całkowicie obsługiwane przez kobiety; kobiety także są niemal wyłącznie kopistkami w biurach rządowych, obsługują banki, prowadzą księgi handlowe. Flota szwedzka zatrudnia stosunkowo znaczną liczbę mężczyzn, kobiety zatem znajdują dla siebie dość pracy biurowej. Ogrodnictwo, nawet w tym dziale swym najwyższym zakładania ogrodów, obsługiwane jest przez kobiety. W prowincyi Dalarne i utrzymały się dotąd dawnej mody ubiory ludowe dzięki temu tylko, że kobiety wzięły w ręce swoje tę gałąź przemysłu. „Towarzystwo miłośników przeszłości“ dziękowało też na zakończenie roku zeszłego Szwedkom za pracę ich na tem polu.

Kobieta szwedzka jest z natury swej dobroczynną. Świadczą o tem liczne zakłady wychowawcze i miłosierne, wzniesione jej groszem, jej zajęciem się serdecznem, jako to: Przytułek dla sędziwych i niezdolnych już do pracy nauczycielek, kantor stręczenia pracy ręcznej kobietom z podupadłych klas wyższych, oraz licznie rozgałęzione kantory pracy dla kobiet w ogóle. Są pomiędzy nimi takie, które dają zajęcie przeważnie kobiecie z ludu, na czem moralność zyskuje bardzo.

Jest klub kobiet literatek. Biblioteka doborowa i bardzo liczna, mieszcząca dzieła klasyczne wszystkich niemal literatur europejskich, oraz czasopisma naukowe i literackie wyższego znaczenia, oddaje tu członkom swoim ważne usługi.

Szwedka mniej podróżuje po świecie, niż kobiety innych krajów, niż Angielki na przykład, ale za to kobiety z klas wykształconych znają niemal ogólnie wszystkie miejsca ważniejszych wydarzeń historycznych kraju swego, wszystkie miejsca wyższej piękności krajobrazów, a Norwegia, ze swoją wzniosłą piękną przyrodą górską, ze swemi fjordami, to jest zatokami, wrzynającemi się głęboko w doliny górskie i ocienionemi bogatą roślinnością, przyciąga rokrocznie liczne rzesze turystów. Poeci: Tegner, Runeberg rozbudzili w sercach miłość natury swojskiej, a trzeba przyznać,

że rozmaitość widoków jest tu może większa, niż w jakimkolwiek z rozslawionych pod tym względem krajów. Rozległe równiny prowincyi Skanii radują wzrok bujnymi łąkami zbóż, zielonemi kobiercami łąk, bukowemi lasami, sadami z bogatym plonem owoców, bo ogrodnictwo jest tu szczególnie rozwinięte i dobrze się procentuje. Prowincya Smaland to scena zupełnie innego widzenia. Lasy wysmukłych brzoź, przez które prześwitujące słońce rozwija mnóstwo drobnego kwiecia leśnego, posępne bory sosnowe i bagna, a wśród tych niezliczone ilości kamieni i głazów erratycznych leżą rozsypane tak, jak rozniosły je tu wody, Bóg wie jakiego potopu. W Bleking, w Södermanland, w części południowej prowincyi Uppland natura rozrzućnie cieższe dary swoje; niesłychana obfitość wody biegnącej i stojącej, tworzy wśród skał i lasów, to błyszczące zwierciadła, to migające się wśród zarośli wstęgi srebrzyste, i powstają ztąd widoki niedające równać się z niezem poprzednio oglądanem, zwłaszcza, gdy nagle oko nie znajduje przed sobą nic, prócz pustki nagej i ubogiej. Na południu legła posępna kraina prowincyi Halland — kraina nagich piaszków, dalej nagich skał wybrzeża, o które rozbija się z jękiem nigdy nie spoczywające fale Kategatu.

Południowa część właściwej Szwecyi (Sverige) pokryta jest niezmierzonymi lasami, w głębi których podróżnik spotyka szeroko rozlane jeziora: Wener, Wetter i Mälar, a obok tego mnóstwo potężnych strumieni i wodospadów, ogłaszająco huczących. Łono ziemi zawiera tu skarby nie małe: najlepsza miedź i żelazo kryje się w jej wnętrzu, jak i żyły srebra, ale te ubogie są i rwą się coraz, znikając i ukazując się znów gdzieś dalej. Kopalnie Gellivara, Dannemara, Falun, Sala, sławne są w świecie. Znajdują się tu przecież inne, większe skarby: materyalna i duchowa kultura stron tutejszych zadziwia podróżnika. Niezmiernie rozgałęzione koleje żelazne i wyborne drogi bite, sieć kanałów sztucznie przeprowadzonych, ułatwiają tak ludziom ruch, że przestrzeń dzieląca ich znika prawie. Obok dobrych uniwersytetów i gymnazyów, szkoły ludowe są bardzo starannie utrzymywane i dobrze uposażone, a dodać należy, że nie czyni się tu różnic między szkołami chłopców i dziewcząt pod względem dobrych wykładów i pomocy naukowych. Moralność ludu tutejszego, czystość jego obyczajów, radość może serce każdego przyjaciela ludzkości. Praca, uczciwość, to stare hasła rodzin nigdy przecież nieprzedawnione w nakazach swoich, i tu kobieta — kobieta z ludu bynajmniej przecież nie ciemna, godną jest szacunku, czei największej, którą też odbiera.

Uszanowanie matki przez dorosłych, nieraz już siwiejących synów wzruszać może. Wiedzą oni, że młodość jej była bez skazy, to też starość jej otacza się aureolą blasków świetlanych. Siostra jest bardzo kochaną i szanowaną przez braci. I tu czystość obyczajów dziewczicy szwedzkiej oddziaływała; nigdy wyraz mogący ją zarumienić nie wychodzi z ust braci; mąż potem szanuje też żonę podobnie. W ogóle kobieta jest szanowaną we wszystkich sferach narodu szwedzkiego, można więc nazwać ją pod względem wszelkim kobietą mocną, bo jest nią duchem i ciałem, a enoty jej opłacają jej się stokrotnie. Miasta niewiele zmieniają układ życia Szwedki. Pracowita, gospodarna tu być nie przestaje, i usiłuje, oile można, wszystkie potrzeby domu zaspakając owocami pracy swojej, kupując, oile można, najmniej gotowych już do użycia przedmiotów, tak co do pożywienia, jak i odzieży. O ile Francuzka, na przykład, pracuje skrzętnie na zarobek grosza, i wskutek tego niemal wszystko wprost ze sklepu idzie na stół rodziny, co powtarza się i w zakresie odzieży, o tyle ona, postępuje odwrotnie uważając to za złą ekonomią, w czem się nie myli. W handlu nie darmo się nie daje; każdy, choćby najdrobniejszy przedmiot kupiony w stanie gotowym już do użycia, opłaca i cenę wyłożonej tu pracy: czy więc zadomowy zarobek kobiety gospodni domu, może się tu rzeczywiście uważać za pomnożenie dochodu? A obok tego cóż zdoła nagrodzić jej brak w wychowaniu dziecka? Ten szerzący się na Zachodzie odśrodkowy ruch pracy kobiecej, który wypędza mężatkę i matkę rodziny na pracę poza-domową, jest

fermentem rozkładającym życie rodzinne bez utrzymania tu rzeczywiście korzyści żadnych.

Szwedka mądra też jest, że usiłuje utrzymać naturalny w rodzinie podział pracy i chce żyć według niego, co nie przeszkadza, aby cywilizacya nowożytna rozwijała się tutaj, ale nie z tym, jak gdzieindziej, rozpędem, niwelującym wszystko dawne dla cywilizacyi tej celów materyalnych. Stockholm, stolica państwa, wykazuje dowodnie, że nie panuje tu przecież zastój. Zbudowany na wyspach między morzem a jeziorem, na pochyłości stromej spuszczonego się ku falom morskim wybrzeża, słusznie nosi Stockholm nazwę Wenecyi Północnej, używając ze wszystkich stron swoich uroczego widoku, jaki też i sam przedstawia. Wysoko w górę strzelający zamek królewski, kopuły i wieże kościołów oraz gmachów różnych, wreszcie las masztów w przystani morskiej i nieustanny ruch statków parowych, wpływających do przystani i wypływających z niej, przedstawiają widok pełen ruchu i życia. Poza zamkiem królewskim i katedrą, Biblioteka Narodowa, Muzeum Narodowe, Muzeum Północne, zasługują na uwagę podróżnika, równie jak starożytny, bardzo kościół na Riddersholm, gdzie mieszczą się groby królewskie, gdzie Gustaw I i II, Karol XII spoczywają obok innych, wielkich ludzi szwedzkiego narodu, wśród trofeów historycznych i drogich Szwedom pamiątek. Obok tego miasto posiada i nowoczesne piękne gmachy, teatry, sale koncertowe, gdzie zgromadza się licznie inteligentna publiczność stolicy, a wśród której kobieta trzyma miejsce niepoślednie. Malmö, drugie miasto kraju, bardzo starożytne, ze wspaniałym starym ratuszem, ze starym zamkiem Malmöhus, historycznej przeszłości, posiada wyższą szkołę dla kobiet, mogącą się zwać uniwersytetem niewieścim, a gdzie nigdy nie wakuje miejsce żadne. Szwedka uczy się chętnie, jest nawet wiedzy chciwą, ale wiedza ta nie odbiera jej bynajmniej poczucia niewieście jej przeznaczeń i obowiązków, i to stanowi jeden z najwyższych jej przymiotów, że umie harmonijnie to godzić. Światła wiedzy pragnie, bo życie pędzone w ciemności smutne jest i poniżające, ale wie, że, jak wszystko w naturze ma miejsce swoje, tak i kobieta otrzymała dział wyznaczony sobie pracy i obowiązków, w miarę spełnienia których otrzyma od narodu swego zapłatę czei i szczęścia.

KRZYSZTOF KOLUMB

(Dalszy ciąg).

Po 20 Września ujrano wieloryba. Wtedy już znajdowano się blisko o 500 leguas od wysp kanaryjskich. Morze było tak spokojne, wiatr wiał tak równo, jednostajnie a łagodnie i ciągle od wschodu, że załoga zaczęła się już trwożyć, czy jej te auzońskie prądy pozwolą jeszcze ujrzeć kiedykolwiek ojczyznę, gdy już przyjdzie wracać z krainy Wielkiego Chana, z owych Indyi wyższych i niższych, z Ofiru, znad wielkiej rzeki Onnam, z niewysłowienie wspaniałej a ogromnej stolicy Quinsay, z wielkiego portu Zaiton w Mangi, a bezpośrednio już — z tej cudownie pięknej, na 300 mil długiej, z zachwytem przez Marka Polo opisywanej wyspy Zipangu, która i Kolumba przedewszystkiem do siebie wabiła. Nadmiar szczęścia unieszczęśliwiał te dziecięce umysły. Zaczęło się szemranie — nawet niebezpieczne. Śmielsi z załogi zmagali się już na życie admirała, kiedy d. 26 Września nie napotkali wysp około Antilli, którą Toscanelli umieścił na wrzokomym południku wyspy Azorskiej Fajal, przeniesionej przezeń prawie na rzeczywisty południk New-Foundlandu. Ale tego samego dnia jeszcze, nad wieczorem, jakby umyślnem zrządzeniem losu, ustały się na południowozachodzie ciężkie obłoki... Wzięto je za ląd; wspaniałe *Gloria in excelsis Deo* — zastąpiło szemranie i niechęci. Umysły się uspokoiły; zielska płynęło

coraz więcej; chmary ptaków i nawet małych śpiewających ptaszków, ożywiały przestwór a obliczenia sterników wykazywały poważne liczby to 650, to 634 *leguas* już przebytych. D. 1 Października, dwudziestego piątego dnia podróży, znajdowano już według obliczeń samego Kolumba o 707 *leguas* od Ferro. Ponieważ cała odległość od Europy do ładu azjatyckiego wynosiła u Toscanellogo tylko 2.275 *leguas*, — po 17 i pół na stopień, — przebyto więc już jedną trzecią drogi, a do owej uroczej Japonii miano już nawet tylko konwencyonalnych mil 900: w górę serca!

Wszystko to opowiada sam Kolumb. Wybierając się w podróż, ślubował on sobie prowadzić dziennik, do którego by nocą wpisywał to, co się wydarzyło we dnie, a dniem to, co zaszło ważniejszego w nocy. Szacowne to świadectwo, i o samej indywidualności żeglarza, i o jego żegludze, dochoowało się, z niewielkimi szczyrbami, w „Historii Indyi“ Las Casas'a. Zaczyna się protokół wypadków, wrażeń, mniemań i złudzeń od symbolu pobożności chrześcijańskiej, po którym zaraz idzie przemowa do króla i królowej Hiszpanii „i wszystkich wysp morza.“ Przypomina w niej Kolumb posłannictwo otrzymane do wielkiego Chana w celu apostołstwa religijnego, warunki umówione i okoliczności zaszłe aż do wyruszenia w drogę; przyrzeka opracować nową mapę żeglarską i nowy atlas kolorowany, ze stopniami długości i szerokości geograficznej — i za główny swój obowiązek uważa dotarcie do owego Chana w Indjach, dla zbadania warunków, w jakichby go nawrócić można na wiarę prawdziwą. Ton religijny, wraz ze spokojem, trzeźwością i jakby przezroczystością myśli panują w tej pamiętce, dającej nam żywe technienie człowieka. W dzienniku swoim, prócz wydarzeń zajmujących żeglarza, zapisywał Kolumb stale przestrzeń przebywaną; ale przez łatwo zrozumiałą nieszczerłość prowadził rachunek ten dwójście: dla siebie samego i dla załogi; tam zapisywał liczby takie, jakie mu błędne lub prawdziwe dostrzeżenie przebytej drogi podawało; tutaj dopuszczał się niewinnej malwersacji, zamieszczając stale liczby mniejsze od uznawanych za prawdziwe. Opierał się wprawdzie na mapie Toscanellogo, ale nie miał ślepej wiary w jego 130 stopni — 26 przedziałek 5° stopniowych — i wołał przeciwko zwątpieniu i sarkaniu załogi mieć zawsze gotową broń z argumentu: tak małośmy jeszcze dotychczas przebyli! Nie było to oszukiwanie prostactwów łatwym, bo każdy sternik, nawet na okręcie admirałskim, prowadził swój własny rachunek; ale niezgodność wszystkich trzech obliczeń pomiędzy sobą dopomogła dzielnie admirałowi do tego ezoteryzmu, który z prawdy, potrzebnej dla wszystkich czynił tajemnicę, dostępną tylko dla jednego. Różnice bywały nieraz znaczne. Tak np. d. 1 Października sternicy zapisali liczby 578, 650 i 64, podczas gdy Kolumb do rejestru przeznaczonych dla wszystkich wciągnął liczbę 584, a w swoim tajemnym dzienniku zaznaczył 707.

Niezmaczony spokojem panował na Atlantyku i w pierwszych dniach Października. Statki płynęły na zachód, zbaczając tylko nieznacznie ku północy. Alonzo Pinzon, dowódca „Pinty“, d. 6 Października, w sobotę, namawiał Kolumba do przyjęcia kierunku południowo-zachodniego, inaczej bowiem nie trafią na Zipangu. Kolumb od chwili wyruszenia z Gomery zmienił swój zamiar: teraz chciał już dobić przedewszystkiem do wybrzeży indyjskich i oddać listy królewskie Gran Can'owi; mniejsza, że ominą Zipangu, — nie ominą przecież drobnych wysp rozsianych na północ od niej; a trzymając się równoleżnika, znajdują przed sobą ujście wielkiej rzeki, nad którą leży Quinsay. Trzymał się tedy Kolumb równoleżnika, ale tylko do dnia następnego. W niedzielę d. 7 Października usłuchał rady Pinzona — i ptaków, które oto lecały ku południowi-zachodowi, mając tam niezawodnie swój ład: po dwóch dniach wrócił znowu do kierunku zachodniego. — Ale nie wrócili: płynęli już ku wyspom Ameryki, odgradzającym jej morze wewnętrzne od oceanu. Gdyby Kolumb wytrwał był w obranym kierunku, byłby się natknął na Florydę lub południową Karolinę — i odkryłby rzeczywiście już Amerykę, ład stały, a nie sterczące tylko z morza wysepki. Dziwne jakieś przeznaczenie odpycha-

ło go stale od ładu amerykańskiego i w następnych podróżach.

Przybywało posłów dobrej nowiny. Przestwór się ożywał: czuć było jakby zapach ładu w powietrzu. Załoga spodziewała się go już 7-go, tej samej niedzieli, w której admirał uległ był namowom jednego z Pinzonów. Wysunięta naprzód, najłżejsza „Nina“ strzałem armatnim krzyknęła z samego rana: „Ład“, ale i dzień minął i wieczór nastał, — a ładu nie było. Odłożono nadzieję do jutra, ale jutro przyniosło nowy zawód, choć Kolumb, jeśli rzeczywiście zasługuje na tytuł admirała, zmieniwszy kierunek żeglugi, powinien przecież wiedzieć w jakim celu to czyni i celu tego nie chybić. D. 9 Października zaczęło się znowu szemranie. W lekkim buntowniczym usposobieniu doczekano wschodu słońca we czwartek d. 11 Października. Teraz już morze przyniosło niezbity dowód istnienia blizkiego ładu: kij ociosany. Urzędowe obliczenia na 750 *leguas* dowodziły wolniejszego biegu statków, i nie zachęcały tych, którym mapa Toscanellogo ukazywała jeszcze więcej niż drugie tyle do owego archipelagu na północ od Zipangu, a dwa razy tyle do stałego ładu Azji. Pogoda tylko ciągle wierna była.

Zapadła noc. Księżyc w ostatniej kwadrze rzucił w przestwór tę dziwną światłość, która jakby zwiększała siłę ciemności. Kolumb miał porwijącą mowę do załogi swego okrętu: Bóg nam sprzyjał, Bóg nas nie opuści, za kilka godzin przybijemy do ładu; dobrze tylko czuwać; kto pierwszy ziemię spostrzeże, dostanie, prócz dziesięciu tysięcy marawediów dożywocia od królowej, jeszcze kaftan jedwabny od niego, admirała. Około godziny 10-ej admirał, stojący na tylnym wieżycy okrętu wezwał do siebie cichaczem spowiednika królewskiego Guitierrez'a i pokazał mu migające w głębi przestworu światełko; Guitierrez potwierdził widzenie, ale zawezwany później Sanchez, skarbnik floty, nie już dostrzedz nie zdołał. To światełko migające przed „Marigalante“ ważną odgrywa rolę w życiu Kolumba, w rozwoju i przejawach jego charakteru. Na razie nie miał on nawet tej subiektywnej pewności, jakiej potrzebował, aby dać sygnał odkrycia ładu, ale później, gdy już wyspy amerykańskie same weszły mu w drogę, na owem złudnem prawie pierwszego widzenia oparł swoje dogmaty się renty dożywczej — i istotnie ją otrzymał, krzywdząc tego, kto okiem swym rzeczywiście najpierw ład dojrzał. Był nim majtek z „Pinty“, która obyczajem swoim, jako zwinniejsza, również i tej pamiętnej nocy z 11-go na 12-go Października, a znowu wysunęła się była poprzed statek admirałski.

We dwie godziny po północy ten majtek, Rodrigo de Triana, nazywany także „Juan Rodriguez Bermejo“, rodem z Molinos pod Sewillą, dostrzegł rzeczywiście już ład — w odległości kilku mil morskich od statku i w szale radości dał od razu salwę przepisaną przez admirała. Flotylla cała przystanęła, spuszczone żagle i czekano świtu w podniesieniu ducha, ale i z niecierpliwością wielką. O świcie zabrał Kolumb obu Pinzonów i kilkunastu zbrojnych, wsiadł w łódź i popłynął do ładu. Sam trzymał w ręku wielką chorągiew królewską; zielone flagi z krzyżami powierzył Pinzonom. Gdy przybili, ujrzeni bujną roślinnością, współzawodniczącą z obfitością wód. Zbliżyła się i flotylla do brzegu. O wschodzie słońca dokonał Kolumb zajęcia wyspy na rzecz króla i królowej Hiszpanii, a wezwany notaryusz Rodrigo Descovedo spisał akt odpowiedzi. Hiszpania dostawała z łaski Kolumba Amerykę. Przyznano mu to w napisie na grobie: „Dla Kastylii i dla Leonu nowy świat odkrył“ (*Por Castilla é por Leon Nuevo mundo halló Colon*).

Odkrycie było dla Kolumba rzeczywiście niespodziewanem. Mógł się on domyslać tylko jakieś wyspy niezaznaczonej przez Toscanellogo, ale ponieważ nigdy nie puszczał myśli swej na tory hipotezy starożytnego Kratesa, nie przeczuwał więc nawet istnienia wielkiego ładu, który w pobliżu odkrytej wyspy całą połowicę kuli ziemskiej zalegał. Później, gdy już odkrył Antyllę, gdy się na niej rozsiadał, nie zjęła go nigdy żądza puszczenia się na morze wewnętrzne pomię-

dzy północną a południową Amerykę; w jakimkolwiek kierunku, byłby zawsze napotkał ład stały — i wyprzedził Korteza, a może i Cabrala. To, co odkrył, według starannie zebranych świadectw jego własnych, Las Casas'a i innych, późniejszych od niego podróżników, przedstawia się dzisiejszej wiedzy geograficznej jako jedna z wysp formacji wapiennej koralowej archipelagu Bahama w grupie właściwych Lukayów, wyniesiona nieznacznie nad morze, rozległa na mil kilkanaście, mająca z północy na południe kształt podłużny. Najlepiej przypada do niedokładnego, co prawda, opisu samego Kolumba, zmaczonego jeszcze przez bałamutny komentarz Las Casas'a, dzisiejsza Watlings-Island; pewności jednak niema i nigdy jej już nie będzie. To tylko jest pewnem, że ład odkryty nazywali sami krajowcy dźwiękami, które Hiszpanie usiłowali ująć w wyraz „Guanahani“ i że Kolumb ochrzcił ten ład imieniem Zbawiciela (*San Salvador*). Obie te nazwy nadane przez osadników angielskich wyspie Cat-Island, leżącej o 54 mile na południ-wschód od Florydy, jak również zbudowany na niej Port Howe, jakoby w temsamem miejscu, do którego zawinęła wyprawa Kolumba, niczego nie rozstrzygają; przywłaszczano sobie pamiątki dowolnie, gdy tradycyi żywej już nie było z powodu wytopienia Indyan, a świadectwa historyczne uprawniały dowolność. Dziś zarówno San-Salvador, jak Guanahani, są tylko nazwami rzeczy nieznaney. Watling leży na południ-wschód od Cat-Island. Domyślność nie poprzestała na dwóch wyspach powyższych. Za San Salvador uważano również i dalej na wschodopółdnie leżącą Samana i jeszcze dalszą Mayaguana czyli Mariguana a nawet najdalszą, już najbardziej południową, wyspę z gromady Turk, zaliczanej do południowej grupy Bahamów pod nazwą Passage-Islands.

Odkryta wyspa nie była bezludną. Zaraz po wylądowaniu zjawily się istoty ludzkie, przeważnie mężczyźni i młodzi. Pomijając zapisane u Pomponiusza Meli podanie o jakichś ludziach z Atlantyku, przysłanych w darze od jakiegoś królika galijskiego prokonsulowi rzymskiemu Metellusowi z przydomkiem „Celer“ — byli to pierwsi przedstawiciele rasy miedzianej, jakich oglądało oko europejskie. Kolumb opisuje ich bardzo przychylnie, z ujmującą dobrocią: młodzi, dorodni, rośli, o przyjemnych obliczach, z włosami twardymi, z przodu spadającymi aż do brwi, z tyłu aż za kark. Naturalna barwa ich skóry kanarkowa; ale wszyscy się malują, to na białe, to na czerwono lub brunatno, niektórzy tylko na nosie, inni koło oczu — najwięcej przecież jest twarzy i ciał namalowanych gestem; są bardzo łagodni i pojętni; znają po nich, że biedni; z wyjątkiem malowideł żadnych nie używają ozdób, chodzą zupełnie nago, broni prawie że nie znają: całym ich orężem dzida drewniana bez żeleźca, tylko z rybnią ością. Nie mogli ci ludzie nowi nic więcej przybyšom ofiarować prócz motków przędzy bawelnianej, papug i owoców. Cieszyli się, jak dzieci, perłami i dzwoneczkami. Przypływali morzem, śpieszyli łądem — i tegosamego dnia zaroilo się od nich miejsce wylądowania Kolumba. Byli wybornymi wiosłarzami i nurkami; w długich pirogach po czterdziestu lub pięćdziesięciu zwijali się doskonale. Zapytywani o złoto, pokazywali ręką na południe; gdyby je mieli sami, pochwaliliby się była niemi już pierwszego dnia, — wrodzona człowiekowi próżność. Nie mógł Kolumb lepszego im wystawić świadectwa nad to, że łatwo nawrócić się dadzą na wiarę Chrystusową a nadają się wybornie na niewolników. Przyrzekł też królowi i królowej zabrać ze sześciu do Hiszpanii — aby ich naocnie poznać mogli. Z kwalifikacyi na dobrych chrześcijan i niewolników skorzystała najbliższa przyszłość. Sam Kolumb doradził rządowi hiszpańskiemu wypłatę zapomóg i wszelkich funduszy na utrzymanie kolonii płaconych z kraju macierzystego — nie w pieniądzech, ale w ludziach — w tych właśnie jak ich nazywał, „Indyanach“, mieszkających „de las Indias“. W środku XVI w. nie było już na całym wypoźbiorze Bahama ani jednego tuziemca.

Po trzech dniach Kolumb zabrał ze sobą tłumaczów — pomiędzy krajowców i popłynął w kierunku przez nich wskazanym, aby się wreszcie dobrać

do złota, którego dla siebie i Hiszpanii pragnął z równą siłą, jak chrześcijaństwa dla ludów nowego świata. Drugą z rzędu wyspę odkrytą w tym samym archipelagu nazwał „S. Maria de la Concepcion“, dalsze otrzymały nazwy „Fernandina“, „Isabella“ („Crooked Island“ dzisiejsza) i t. d. I tu nigdzie nie było, ani króla, ani złota, ani innych drogości, nie było też zwierząt większych, bądź domowych, bądź dzikich — papugi tylko i psy małe, nieszczekające. Na Fernandinie uderzała piękna roślinność. Mieszkańcy wciąż odsyłali przybyszów, wypytujących o złoto i drogocenne kamienie, na południe i rozpowiadali o wielkiej wyspie „Kolba“, którą Kolumb, na samo tylko zasłyszanie o niej, zapominając już o odległościach mapy Toscanelliego i o wszystkim, w co wierzył i czem się kierował był w podróży, wziął za ową uroczą Zipangu Marka Polo. Umysł jego przesunął tu Japonię, już i tak umieszczoną na rzeczywistym terytorium Meksyku, jeszcze bliżej Europy, — o całą Zatokę Meksykańską bliżej.

D. 24 Października wyruszyła wyprawa z Santy Isabelli na ową „Kolbę“ geografii tuziemców. D. 27 t. m. zawinęła do małej przystani Porto Naranjo albo Puerto de Nipe, na wschód od miasta Nuevitas, pod 75° 50' od Greenwich, na północnym brzegu Kuby. W pobożności swojej nazwał ją Kolumb Puerto de S. Salvador; dopływając, piaszczystym wysepkiem dał nazwę odpowiednią „Islas de Arena“. Wspaniałość największej wyspy antylskiej wywarła na żeglarzu i jego towarzyszach ogromne wrażenie, pięknie odmalowane przez Peschla w *Zeitalter der Entdeckungen*. Kraj przypominał mu zrazu Sycylię a jego imaginacyi obiecywał wszystkie skarby, jakie obudzać mogły pożądlivóść szczęśliwego odkrywcy. Kolumb wierzył tak silnie, że jest w Japonii, iż spodziewał się okrętów wielkiego chana w portach Kuby, a odległość jej od lądu stałego mierzył tylko dziesięcioma dniami podróży. Ludność miejscowa obalamowała i admirała i obu kapitanów opowiadaniem na migi, zatem mową pod względem dokładności nie o wiele wyżej stojącą od sygnałów. Na tych grubych, grubą metodą ściąganych świadectwach osnuła sobie wyprawa bajkę, że odkryta wyspa jest już samym lądem Azji ze stolicą „Kuba“, że panujący w niej prowadzi wojnę z wielkim chanem, *Cami* albo *Cavila* dziennika Kolumba, w stolicy „Fava“ w państwie „Bafan“ i t. d.

Nie mógł Kolumb w żaden sposób zorientować się gdzie jest. Wiara w Kubę jako stały ląd azjatycki nie trwała długo. Już d. 1 Listopada zapisał w swym dzienniku: „Ani wątpię: jestem najdalej o 100 mil (*leguas*) od Quinsayu i Zaytonu:“ nawracał więc zawsze do Toscanelliego. Gwałtowna burza przerywała mu opływanie dalsze północnego brzegu Kuby ku Hawanie. D. 29 Paźdź. schronił się do Zatoki Puerto de la Nuevitas i stał tu aż do 12 Listopada. Ztąd wysłał w głąb wyspy uczonego żyda de Torres, posiadającego język arabski i chaldejski, jako biegłego do zasięgnięcia języka — od tych mieszkańców niewatpłiwych Indyi, niedalekich już przecież od Arabii i Chaldei. Ludność witała Torresa, jego towarzysza z załogi i tłumacza z Guanahani nadzwyczaj uprzejmie, z zapalem, z uwielbieniem. Wielka wieś z 50 domów a 1.000 mieszkańców przyjmowała ich jak wysłańców z niebios, jakby aniołów. Kobiety dotykały się ich ciał; przekonać się chciały czy rzeczywiście mają przed sobą istoty cielesne. Gdy już odchodzili, wielu pragnęło iść razem z nimi, mniemając, że wracają do nieba. Na wieść o ludziach białych stawił się na powitanie i kacyk z synem i jednym z dworzan. Ugaszczani wszystkim, co najlepszego było mogło, poznali posłowie Kolumba wielkie liście zwijane w rurkę, które mężczyźni zapalali w jednym końcu i trzymając w ustach, dym w siebie wciągali. Nazywano je *tobaco* — tytoń nasz dzisiejszy. Góry wysokie na 8.000 stóp, krajobrazy czarownie piękne przypominały Torresowi rozkoszną Andaluzję. Kolumbowa „Zipangu“ miała i korzenie i farby i drzewa przepyszne, palmy i bawełnę, ale złota, — zaledwie ślady, a pereł i drogich kamieni wcale. Dużych zwierząt lądowych i tu nie było; za to moc wielka ptaków prześlicznych,

motyli i gadów. Badając krajowców, a rozumując zle ich odpowiedzi, zaczął Kolumb znowu odwracać się od wiary w „Zipangu“ i wierzyć w to, że się znajduje na stałym lądzie Azji, gdzie są ludy jednookie i ludzie z psimi łbami. Jedną z wysp odkrytych podczas pierwszej podróży wziął za krainę Amazonek.

D. 12 Listopada wyruszył odkrywca lądów na południo-zachód, w poszukiwaniu wyspy, która w jego dzienniku nosi nazwę „Babeque“, a wabiła do siebie jako złotodajna. Walecząc z wichrami i posuwając się z wolna, nazwał morze antylskie „morzem Najświętszej Panny“. Brzegi Kuby ku wschodowi nie nie traciły ze swego uroku. Zachwycony woła: „Tysiąc języków nie wystarczy na godne opiewanie tej cudownej krainy“. Na samym krańcu wschodu nazwał przylądek Mayei „Alfą i Omegą“ — ostatnim punktem lądu azjatyckiego. D. 5 Grudnia na południo-wschodzie ukazał się mu nowy ląd; nazajutrz przybił już do jego brzegów. Była to Haiti — nazwana przezeń „małą Hiszpanią“ *Española* (Hispaniola). Później na cześć swego nadał jej nazwę *San Domingo*.

Na Haiti znalazł już złoto; nosili je możniejsi, jakiś kacyk miał na sobie całą bryłę wielkości pięści. Wyspa znajdowała się w wyższej kulturze, a ludność ją zamieszkująca w wyższym rozwoju społecznym, niż Kuba i jej mieszkańcy. Wszędzie, gdzie zajął, było ludno i rojno. Na oko oceniał zaludnienie wyspy na milion, co, oczywiście, było przesadzone. W wigilią Bożego Narodzenia dowiedział się, że w środku wyspy leżą bogate pokłady złota w miejscowości Civa, która znowu przypominała mu „Zipangu“. Tam teraz postanowił dotrzeć, a ową wyspę „Babeque“ zostawił już Pinzonowi, który z „Pintą“ odłączył się był od floty jeszcze w nocy z d. 21 na 22 Listopada, aby się nie dać nikomu wyprzedzić w odkryciu skarbow. W same święta spotkało Kolumba nieszczęście: opływając Haiti ku wschodowi, rozbił się ze swoją „Santa Marią“. Krajowcy dopomogli do wyładowania pakunku, trzymali straż nad nim, płakali rzewnymi łzami nad nieszczęśliwymi, dali załodze schronienie w swych chatkach, a znosząc coraz więcej złota, wzamian za świecidełka europejskie, utrwalali w Kolumbie mniemanie, że właśnie Opatrzność sama zesłała mu nieszczęście, aby go szczęściem obdarzyć. Kacyk miejscowy „Guacanagari“ po przyjacielskich biesiadach pozwolił Hiszpanom osiedlić się na wyspie. Uradowany Kolumb pisze w swoim dzienniku: „Wszystko, co przyniosła moje odkrycie, pójdzie na zdobycie Jerozolimy“. Spodziewał się, że czterdziestu ludzi z trzema oficerami w ciągu trzech lat zbierze mu tyle złota, ile potrzeba do urządzenia wyprawy na niewiernych. Pierwsza osada europejska w Ameryce otrzymała nazwę „*Navidad*“, władzę nad nią otrzymał Diego d'Arana.

Zostawiwszy osadników, z armatami i orężem, okopanych dobrze i zabezpieczonych na wszelki przypadek, „Kolumb d. 4 Stycznia 1493 r. popłynął dalej, teraz już tylko na małej i wątlej „Ninie“. We dwa dni później spotkał się już z „Pintą“. D. 12 Stycznia zatrzymał się u przylądka Samana. Nazajutrz napadli na wyprawę, poraz pierwszy od poznania nowego świata, dzicy Karibowie („silni“). Dalszy pobyt w Ameryce był już niemożliwym: zniszczenie okrętu admirałskiego, osłabienie załogi wskutek pozostawienia zbrojnej osady na Haiti, wątpli stan statków i szczupłe już zapasy żywności — przemawiały za bezzwłocznym powrotem. Usłuchał tedy Kolumb rady, jaką mu dawały same wypadki, wyrzekł się zamiaru pozostania na Haiti do Kwietnia, i d. 16 Stycznia 1493 kazał sterować ku północo-wschodowi.

(Dokończenie nastąpi).

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Bałam się, żeby ciebie szczęście nie zabiło — odezwała się pani Tirard.

— Ono nigdy takich głupstw nie robi — zaśmiał się szambelan — *Ca!*

Po chwili spytał:

— I cóż ty lepszego donieść mi mogłaś?

— Ty wiesz, Dyziu, że jabym dla ciebie chciała...

— Nieba! nieba! — a tymczasem Zosię mi dajesz, *Ca!* — zawołał Pirski.

Rzeczywiście, szambelan nie spodziewał się podobnej wiadomości. Spokój Zosi, zapomnienie o Zygmuncie — to ogromny przeskok w jego planach. Policzki miał zarumienione, a ręce lekko mu drżały.

— A jakże tam z przybyciem do Brzezina?

Ernestyna uśmiechnęła się.

— Powiedziała: może...

— *Je comprends!*... he! — mrugnął szambelan.

— Uważa pan szambelan: może... — powtórzyła Florentyna.

— *Ca veut dire, je suis prête à venir!* tylko potrzebuje moich osobistych zaprosin...

— Jak ty, Dyziu, odrazu wszystkiego się domyślasz! — zawołała Ernestyna uspokojona już zupełnie.

Szambelan przymrużył oczy i rzekł powoli:

— Ty nie wiesz, Ernestyno, że wiadomość udzielona mi przez ciebie jest klejnotem pierwszego gatunku. Skalska dała dowód wielkiego rozumu. Kto o nią nie dba, nie wart jej: *Ca!*

— Cóż ty, Dyziu, zamysłasz czynić?

— Do Brzezina dziś, jutro — byleby odrobinę drogi się poprawiły...

— A twój reumatyzm?

— Zdaje się, że mnie porzucił nazawsze.

Nagle syknął, — chwycił się za ramię, kolano, piersi i runął na fotel.

— Maczku! — zawołała Ernestyna.

— Antoniego! — wyjęczał szambelan.

Dwóch lokajów skoczyło z rozkazem pańskim do stajen i po chwili koczobryk zatoczył się przed ganek doktorski.

Właśnie ksiądz proboszcz opuszczał mieszkanie eskulapa.

— Zkąd?

— Od szambelana.

— Chwała Boga, chwała Bogu! — mruknął, mając na względzie praktykę pana Antoniego.

Doktor przybył do pałacu, ale szambelana uspokojonego już zastał, choć jeszcze lekkich boleści doznawał.

— Co, panu szambelanowi? — zapytał, przywitawszy się z damami, Antoni.

— Kręciło! — zawołał Pirski. — O, jeszcze — tu!... teraz tu... Zaczyna, strach jak zaczyna znów kręcić!

Doktor wstrzyknął pod skórę płyn jakiś i szambelan tchnął lekko, doświadczając błogostanu...

— Czy to tak długo potrwa, he? — zapytał.

— To są ostatnie wysiłki choroby, opuszczającej stanowczo pana szambelana.

— Czy mnie nie oszukujesz, panie Antoni?

— Ręczę doktorskim swoim patentem. Małe strzykania pojawiać się jeszcze będą, lecz coraz rzadsze, słabsze, aż znikną zupełnie.

— Bo to widzisz, panie Antoni, że za dni parę wyjechać muszę.

— A, na to nie pozwolę!...

— Jakto, nie pozwolę? a jeżeli zechcę?...

— Nie odpowiadam wtedy za nic.

— Uważasz, Dyziu, doktor nie odpowiada wtedy za nie... — szepnęła pani Ernestyna, składając, jak do modlitwy, ręce.

Pirski niecierpliwie się poruszył.

— No, dobrze, dobrze! ale kiedyż ostatecznie pozwolisz mi wysunąć się na świat boży?

— Kiedy pana szambelana zrestauruję zupełnie.

— *Ca!* on mnie chce restaurować jak starą rudę — mruknął szambelan.

— Może, jak wspaniały budynek — dodała Florentyna.

— Pani ma słuszość — odpowiedział z uśmiechem doktor, zwracając się do żony s. p. Filidora.

— Lecz kiedyż nastąpi koniec mojej restauracji? — zapytał Pirski.

— Za tydzień, ręczę, że szambelan żadnych bólów czuć nie będzie.

Pan Dyonizy klasnął w palce.

— ...Ale — skończył doktor — dopóki nie ustalą się dni ciepłe, na mocy mego doktorskiego prawa zabraniam panu opuszczać pałac.

— *Ca!* — mruknął szambelan. — Dobrze to panu na mocy jego doktorskiego prawa tak mówić — ale, gdybyś był we mnie, to... to...

Nie skończył, poruszył tylko szybko brwiami i przełknął Sirodena cukierek.

Szambelan doskonale wiedział, że choćby ze strony doktora stanowczego zakazu wyjazdu nie było, to z latającym reumatyzmem nie mógłby się przed piękną Zofią pokazać. Kiedy a kiedy, to teraz powinien stanąć przed nią w całej pełni zdrowia i z młodzieńczą niemal fantazją. Wiadomości udzielone przez Ernestynę dobrą go napełniały otuchą; w marzeniach swych widział Zosię zajęta myślami o Brzezynie, a ponieważ Brzezina był jego rezydencją, musiała nieraz pomyśleć i o tym, który w nim przebywał. Pani Skalska czekała tylko osobistych zaprosin szambelana, by przybyć na czas pewien do jego pięknego pałacu. Jeżeli dotąd nie zupełnie dobrze rozumiała myśl Pirskiego, to pojmie ją całkowicie, gdy zobaczy znajomy sobie dobrze pałac, wyświeżony, ubrany w kwiaty, wyglądający jak cacko istne. Czytelnem będzie tu dla niej wszystko. Szambelan przedstawiał sobie z jakim zajęciem ona na karty tej książki wzrok swój rzuci. Byleby tylko pan Antoni uporał się prędzej z jego latającą chorobą.

— Kochany doktorze — śpiesz, śpiesz! — powtarzał.

— Jakże pan szambelan dzisiaj się czuje? — pytał Antoni.

— Lepiej — ale jeszcze kręci...

— Cierpliwości, panie szambelanie, choroba musi być leczoną systematycznie i wyleczoną dokładnie.

— A czy nie pozostawi czasami złych skutków po sobie? jakiegoś osłabienia na przykład — hie?

— Ręczę za to — uspakajał doktor.

Pragnąc jaknajszybciej przyjść do zdrowia, szambelan zastosowywał się zupełnie do rad doktorskich. Pan Antoni posiadał całkowite zaufanie Pirskiego i przy najmniejszej niedyspozycji szambelana był doń wzywany. Zrazu przysyłano po niego koczobryk, później faeton, wreszcie karetę zatoczyła się przed ganek. Ksiądz proboszcz każdym razem pytał: do kogo? a otrzymawszy odpowiedź, że od szambelana: — chwała Bogu! powtarzał. Im dłużej przeciągała się choroba Pirskiego, tem pocziwie ksiądz proboszcz czuł się lepiej — wreszcie zupełnie wyzdrowiał i wszystkim parafianom młodego zalecał doktora, który, wprost z martwych wskrzesza.

— Patrzcie na mnie, zdrow jestem jak ryba! a już myślałem, że trzeba będzie, was, owieczki moje, pożegnać.

Szambelan ze swej strony dokładał pochwał, a panu Antoniemu codziennie pacjentów przybywało.

Dni stawały się coraz cieplejszemi, rekonwalescencya szambelana szybkim postępowała krokiem, „królewska kamelia“ zakwitła i wspaniałe drzewo w pełni pączki i kwiatów zostało przesłane Zosi, z oględnym, lecz miłym listem.

Odbiorczyni pięknego prezentu nie wiedziała zrazu co miała uczynić z tym podarunkiem szambelana. Nie posądzając Pirskiego o żadne względem niej zamiary (bo do słów Ernestyny, chcącej nieba ubóstwionemu kuzynowi przychylić, nie przy-

wiązywała wagi), nie chciała odesłaniem kwiatu obrazić szambelana. Przyszła jej myśl wprawdzie poradzić się Korabieza, lecz, znając jego niechęć, uzasadnioną może, do pana na Brzezynie — wolała postąpić według własnego przekonania. Kwiat został przyjęty, odpowiedź na list była krótka i nie nie mówiąca.

Szambelan nie spodziewał się innej, pani Ernestyna jednak dopatrzyła się w obojętnych słowach Zosi — uczucia.

Kobiety lubią dzieci i kwiaty. Nieraz morusek wycelowany przez nie zostaje, jak dziecko królewskie, a rzadko który kwiat pominięty. Cóż dopiero dar do szambelańskiego podobny! Gdy drzewko wniesiono, okrzyk zachwytu wypadł z piersi pani Skalskiej — piękny kwiat kamelii pociągał pięknoscia oczy Zosi. Kucejwa, który go wręczał, nie omieszkiał o tym okrzyku wspomnieć swojemu panu.

— Ernestynie — he? — mruknął szambelan.

— Denis! — składając przed nim pulchne swe rączki, odezwała się madame Tirard.

— *Ca!* — zawołał Pirski.

Dwa cukierki Sirodena znikły mu w ustach, a karetę pojechała po pana Antoniego.

— Kto tam chory? — spytał stangreta ksiądz proboszcz.

— Pan szambelan.

— Chwała Bogu! Mój Antoni wkrótce będzie miał więcej pacjentów, niż dzień godzin.

— Doktorze, śpiesz! — wołał Pirski do wchodzącego.

Tegosamego dnia, w którym Zosia otrzymała podarunek szambelański, pochwaliła się nim przed panem Michałem.

— Zgadnij pan od kogo? — spytała z uśmiechem na ustach.

Korabiec nachmurzył się.

— Wolałbym, ażebyś pani tego kwiatu nie miała — szepnął.

— Czy pan myślisz, że jestem innego zdania od pana? Ale, doprawdy, nie wiedziałam sama, co zrobić; trudno mi było być niegrzeczną — zresztą, przyznam się do grzechu przed panem. Uległam pokusie. Ale... gdyby już raz drugi szambelan zechciał mnie czemś, nawet stokroć piękniejszem, obdarzyć — nie przyjąłabym daru.

— Dłaczego? — spytał Michał.

— Bo... pan się zachmurzył.

— Dziękuję pani! — rzekł Korabiec.

Przytulił rękę do ust — przytrzymał zadługo.

— Panie Michale — bardzo cicho szepnęła Zosia.

Drżącą rękę wysunęła z gorącego uścisku Korabieza, który, niechęć nadużywać jej łaski, cieszył się szczęściem obecnej chwili.

Zosia dnia tego była więcej zamyśloną, niż zwykle, Korabiec poważny i pewny przyszłości.

Nazajutrz Bajbosiewicz zawiadomił pana Michała, że na zasadzie pełnomocnictwa wydanego przez Zygmunta szambelanowi Kucejwa wszystkie pieniądze za zboże wzięte wydał Skalskiemu — do Paryża.

— Czy o tem pani ani mru-mru?

— Tak, panie Rafale!

Bajbosiewicz się oddalił.

Korabiec długo nie ruszył się z miejsca, wreszcie szepnął:

— Więc jesteś panie Zyguncie — w Paryżu.

Piękny jest Paryż w pierwszych dniach Maja. Ciepłe słońce rzuca złote promienie, szerokie liście platanów ocieniają przepiękne ruchliwym tłumem bulwary, ogrody w girlandy róż się stroją, parowce, jak jaskółki, mkną po srebrzystych Sekwany falach, której granitowe brzegi czasami szafirem, czasami odbłaskiem złota się mienią. Na Polach Elizejskich roi się mrowisko ludu, słysząc huk bębnow i trąb, w powietrzu brzmi narodowy marsz Francuzów. Tłumy słuchają palącej pieśni i ostatnie jej dźwięki żegnają hucznym oklaskiem. Stolica bije dwumilionem sere, gra krwią gorącą, która niegdyś paliła świat...

Dnia pewnego tłum niezwykle liczny stoczył się przed wspaniałymi gmachami opery. — Miała być wystawiona, zapowiadana oddawna i z niezwykłym zajęciem oczekiwana, sztuka jednego z mi-

strzów muzyki. Bilety od tygodnia rozkupione zostały, lecz znaleźli się amatorowie doraźnych zysków, którzy za pewną zaokrągloną sumę gotowi byli sprzedać swe prawa do łóż i krzeseł. Ceny miejsc w teatrze w ten sposób dochodziły do bajecznej wysokości, bilety co chwila zmieniały właścicieli, złota moneta przechodziła z rąk do rąk, póki nabywca i sprzedawca, zadowoleni z dopiętego zamiaru, nie opuścili miejsca zaimprovizowanego na poczekaniu targu.

Na *Boulevard de Sebastopol*, w salonie urządzonym z niemałym nakładem i przepychem, oczekiwała Natalia na przybycie pana Zygmunta. Na twarzy piękności znać było niecierpliwość nerwową, oczy co chwila zwracały się ku drzwiom wchodowym a zawiadzone w oczekiwaniu rzucały błyskawice stłumionego gniewu, podczas, gdy usta krzywiły się grymasem niechęci.

Pani Natalia była ubrana w strojną, balową suknię, w półrozkwitłą różę miała u piersi, podobną, o barwie koralowej, w kasztanowatych swych włosach, i kilka bukietów, rzuconych jakby niedbale, na sukni.

Słońce zachodziło, unoszące się mgły nad Paryżem wysłały promieni blask złoty, aż, wsiąknawszy w gęstą masę oparów, rozlał się jedną falą żółto-różowego światła.

Natalia patrzyła na słońce, potem rzuciła okiem na wiszącą u boku zegarek i uderzyła gniewnie o stół trzymanymi w dłoni rękawiczkami.

— Już mnie nudzić zaczyna! — zawołała.

Nagle zwróciła się.

Na schodach dały się słyszeć przyspieszone kroki.

Rozkapryszona kobieta podbiegła do drzwi, które szybko przed nią się otwały.

— A! — odezwała się do wchodzącego pana Zygmunta — myślałam, że już nie wrócisz...

Skalski zaśmiał się.

— Czy sądziłaś, że się do Sekwany rzucił?

— Oto byłam spokojna! — odpowiedziała Natalia. — Ale mów wreszcie, czy ci się ta spóźniona wyprawa udała?

— Niestety! — zawołał Zygmunt.

Piękna pani spojrzała mu szybko w oczy, w których zamigotał błysk gniewu.

— Więcej biletu niema?!

Zygmunt z uśmiechem ujął jej obie dłonie.

— Są, są — kapryśnico — są!...

— Aaa!...

Pani Natalia odetchnęła.

— Dla ciebie, moja najdroższa — ciągnął mężczyzna, obejmując ramieniem jej kibić — zpod ziemi-bym wy dostał. Mamy łożę pierwszego piętra: zdobyłem ją ofiarą sześciuset franków.

Natalia przygryzła lekko wargi.

— Za pierwsze, dziękuję! za drugie, nie powiem, żebym była zadowolona.

— Dziękujesz za bilety, lecz z czego jesteś niezadowolona — nie rozumiem!

— Widocznie, że ofiara poniesiona dla twojej najdroższej była ci nieco uciążliwą...

— Co prawda, nie odznaczała się lekkością łabędziego puchu. Dotąd jakoś z wydatkami nie liczyliśmy się, tak, że wierz, moja śliczna, iż kilka tysięcy rubli długu musiałem już u szambelana zaciągnąć. Paryż dyabelnie drogo kosztuje: będziem musieli nieco w wydatkach się ograniczyć.

— Może rozpoczniemy od odniesienia biletów na dzisiejszą operę, zdobytych z takim heroicznym poświęceniem?

Suchy głos pani Natalii niemile uderzył w słuch pana Zygmunta — czoło jego zmarszczyła bruzda lekka. Piękna kobieta wzięta przed chwilą bilety z rąk Skalskiego wręczyła mu napowrót.

— Możesz odnieść — rzekła.

Zygmunt rzucił się.

— Robisz mi przykrość — odezwał się.

— Ofiarę tylko!

— Żarty! — zawołał Zygmunt.

— Spróbuj je odnieść, a przekonasz się, że nie zawrócę ciebie od progu.

— Wierzę, bo pani moja jest uparta... No, nie psuj mi dobrego humoru — zawołał, rzucając się na sofę. — Mówią, że muzyka jest wspaniała, libretto niezwykle zajmujące. Cały wyższy świat Paryża będzie na tej premierze.

Pani Natalia nie odpowiedziała, odwróciła

się nieco od Zygmunta i zaczęła z pewnem podrażnieniem rękawiczki naciągać.

— *Enfant terrible!*—zawołał Zygmunt, porywając ją w objęcia.—Robię wszystko, co chcesz, a ty mnie nawet rozkosznym nie obdarzysz uśmiechem.

Natalia podniosła ku niemu swe czarne, palące oczy—uśmiechnęła się i, otaczając ramionami jego szyję, szepnęła:

— Natalka wiele kosztuje, ale też—i...nie jesteś przecież z nią nieszczęśliwy.

— Tak, tak — zawołał Zygmunt. — Rozkosz! szczęście! szal! upojenie!...

Wpił się w jej usta i całował bez końca.

— Ach!—odezwała się Natalia, wyrывая się z namiętych uścisków Zygmunta — zapominasz o operze!

— Jeszcze mamy długą godzinę przed sobą—trafim w sam raz!... Ach! jakaś ty piękna... — wykrzyknął. — Usiądź przy mnie, pogawędzimy jeszcze chwileczkę, chwileczkę...

Usiadł na sofie i, trzymając Natalię za obie ręce, pociągnął ją ku sobie.

— Mówić! mówić! — odezwała się Natalia, poruszając lekko głową—i o czym?... —

— O czym chcesz!... byłem głos twój słyszał i widział uśmiech

..... co wraca z podróży,

Do swego gniazda, do pereł i róż!

Natalia usiadła przy nim i pieszczotliwie, opierając głowę na jego ramieniu, zaczęła:

— Ja-bym ciebie o jedno chciała spytać, ale...

— Co—co—co?

— Boję się, by ci mój przykrości tem pytaniem nie wyrządzić.

— Pytaniem? przykrości? ty?... O, śmiało! jestem zupełnie spokojny.

Natalia zwróciła się do Zygmunta i, paląc go czarodziejskiem swoim spojrzeniem, szepnęła:

— Chciałabym—chciałabym wiedzieć, czy tobie czasami na myśl nie przychodzi...

— Nie!—zawołała nagle, odrywając piękną swą głowę od ramienia pana Zygmunta—boję się!...

Skalski uśmiechnął się i zlekka oczy przy-mrużył.

— Czy chcesz—rzekł powoli—ażebym wyręczył ciebie?

Natalia pochyliła się ku niemu.

— A no—mów, mów!—zaszczebiotała. — Lecz, ach!... jeżeli odgadniesz, nie wiem czy prawdę powiesz.

— Chciałabyś wiedzieć, czy czasem na myśl mi nie przychodzi Zosia?... tak?

Oczy pani Natalii błysnęły.

— Tak, tak!... Powiedz prawdę?

— Szczerą?

— Jak najszczerzą...

— Nie!

Pani Natalia skoczyła.

— Tak mnie kochasz?

— Tak kocham!—zawołał Zygmunt.

Natalia stała przed nim.

Nagle oczy opuściła ku ziemi, a mała, ledwo dojrzana zmarszczka zarysowała się na jej czole.

— Tak kocham — ciągnął dalej Skalski — tak żyję ciągle dniem dzisiejszym, że, choćbym chciał, o przeszłości pomyśleć nie mogę. Zresztą Zosia może być dobrą żoną, ale nie dla mnie, który potrzebuję głębszej, wyższej, że tak powiem—miłości!... Ach! tamta codzienna miłość znużyła mnie i przybrała nakoniec słodki smak rosołu podawanego wciąż na obiad... No! cóż się tak zamyśliła?—zapytał po chwili.

— Jedźmy na operę! — odpowiedziała szybko Natalia.

— Czy jesteś zadowolona z odpowiedzi?

Natalia, zdawało się, że słów tych nie słyszała. Białe koronkowy szal zarzuciła na głowę, okryła nim wygorsowane ramiona, spróbowała czy złota, piękna, osiana cała brylantami bransleta, ostatni podarunek Zygmunta, trzyma się mocno na rękę i, zwracając się ku niemu:

— *Allons!*—rzuciła.

— Koniecznie chcesz być pierwszą?

— Nie, ale chcę być na początku.

— Nie spóźnimy się o jedną chwilę. Karetka czeka przed domem.

— Podaj mi rękę!

Zygmunt się nie ruszył... Stał od niej w oddaleniu kroków kilka i patrzył uśmiechniony, rozko-chany.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

GRABARZE

powieść Józefa Rogosza.

Grabarzami nazwał autor w toku powieści świat biurokracji galicyjskiej—ludzi, co pogrzebawszy szlachetniejsze uczucia w swej piersi, kierują się wyłącznie uprzedzeniem i namiętnością, a dla zadośćuczynienia jej pod osłoną suchego a niewzruszonego paragrafu prawa dopuszczają się najrozmaitszych nadużyć; właściwie zaś mianem tem należałoby nazwać wszystkich bohaterów w powieści Rogosza z bardzo małym wyjątkiem postaci dodatnich. Zaiste, są to prawdziwi grabarze, jeśli nie uczuć zacniejszych, to w każdym razie uczuć wielkiej myśli ludzkiej.

W pierwszym właśnie rozdziale swej pracy autor daje nam odrazu sylwetkę wszystkich tych ludzi, skupiwszy ich na balu, danym przez żonę radcy Darskiego, panią Emilię. Jak w kalejdoskopie przesuwają się tu przed oczyma naszymi z jednej strony biurokraci, ludzie nowi, powstałi z niczego i z pogardą w duszy a uśmiechem ironicznym na ustach spoglądający na tych, co szeregiem antenatów pochłubić się mogą,—z drugiej strony—obywatele wiejscy, stanowiący dwie kategorie: albo kategorią owej starej szlachty, co utraciła resztki ojcowizny i, w długach siedząc po uszy, czytuje tylko herbarze, jako *dulcis recordatio praeteritorum*, lub rozprawiając głośno o honorze, rezyduje u bogatych sąsiadów, albo też kategorią dorobkiewiczów, pochodzących bądź z chłopów, bądź z żydów.

W następnych rozdziałach powieści znajdujemy w dalszym ciągu charakterystykę tegoż obywatelstwa wiejskiego, naciągniętą już na obszerne ramy i zawartą przeważnie w prostym opowiadaniu. Dopiero w połowie książki rozpoczyna autor właściwą akcją powieściową. Ztąd wynika brak harmonii w stosunku części podrzędnych do głównego wątku i niepotrzebna rozwlekłość, co jest niewątpliwie tembardziej rażące, że uderza zaraz na początku każdego czytelnika, który, przeczytawszy już blisko połowę powieści, jeszcze nie może żadną miarą natrafić na główny prąd opowiadania. Fabuła sama, jakkolwiek w całym utworze nie przedstawia jednolitej całości, głównie jednakże skupia się około bardzo charakterystycznej postaci pana Bartłomieja Grzywy, czelaka „podlej kondycyi,” który, krzywdą ludzką dorobiwszy się znacznej fortuny, kupił wioskę Strzałkowie i, mając przy swym boku doradcę, pieczeniara Lisińskiego, w dalszym ciągu, bez względu na opinię ogółu niezupełnie uczciwymi środkami pracuje nad pomnożeniem majątku. Jest to postać skreślona przez autora najplastyczniej, najwyraziściej, tak, że wobec innych postaci, którym właśnie często brak tej wyrazistości, występuje najwypuklej, odrazu rzucając się w oczy. Rozmowa np. prowadzona między Grzywą a Lisińskim, rzucającym mu myśl ubiegania się o stanowisko marszałka powiatowego, jest pod względem wybornej plastyki i charakterystyki typu jedną z najpysznějších scen, jakie w powieściach naszych spotkać można.

Obok Grzywy występuje druga równoznaczna z nim, aczkolwiek skreślona z mniejszą o wiele plastyką, postać dodatnia w powieści, a mianowicie hrabia Tęczyński z zięciem swoim Konradem Palińskim, który energią, oszczędnością i zapobiegliwością pragnie ocalić resztki fortuny swojego teścia. Są to dwie postaci, wzięte ze szczytów, niestety, grona tych ludzi, którzy, należąc do sfery arystokratycznej, wobec ruiny materialnej umieją

energicznie waleczyć z losem i zdolni są jać się pracy w tem przeświadczeniu, że jakakolwiek ona będzie, nie ubliży bynajmniej klejnotowi rodzin-nemu; to też, gdy Konrad zajęty jest gospodarstwem i w ogóle interesami majątkowymi, dwie córki Tęczyńskiego Alieya i Zofia nie wahają się otworzyć restauracyi dla robotników, pracujących w pobliżu przy budowie kolei i rozpocząć na własną rękę bardzo dobrze procentującego handlu nabiałem. Tęczyński, jako człowiek uczciwy i rozsądny, nie może żadną miarą pogodzić się z myślą, aby taki nędznik pod względem umysłowym i moralnym, jak Grzywa, mógł zostać marszałkiem powiatowym, jest więc temsamem naturalnym jego przeciwnikiem, i podczas wyborów, gdy zjednana dobru obiadkami i rozmaitemi obetnieniami szlachta znaczną większością głosów wyniosła Grzywę na to stanowisko, pierwszy złożył swój mandat poselski razem z kilku zacniejszymi obywatelami, czem poruszył cały powiat i w nowokreowanym marszałku i jego stronnikach zyskał sobie nieprzejednanych wrogów. Zwłaszcza wśród biurokratów powiatowych, lgnących do Grzywy, dzięki jego majątkowi i wspólnemu z nim pochodzeniu, zapłonęło skrycie silne uczucie nienawiści przeciw hrabiemu, jako człowiekowi pochodzenia arystokratycznego i nieskończenie od nich wyższego pod względem moralnym. To też pan radca Darski rad był bardzo, gdy nadarzyła się sposobność wyrządzenia mu strasznej krzywdy moralnej przez posądzenie go, bez najmniejszych dowodów, o zabójstwo bogatej rezydentki i na mocy prawa zamknięcie w więzieniu, czem wywołał wielką radość w gronie urzędników i plotkarek miejskich. Powieść kończy się udowodnieniem niewinności hrabiego i nagłą śmiercią Grzywy, któremu w chwili konania z kurczowo zaciśniętych palców Lisiński usiłuje wydrzeć klucz od kasy.

Obok tych głównych postaci grupuje się kilka połączonych z treścią powieściową drugorzędnych figur, również do obywatelstwa wiejskiego należących, jak np. Franuś Czapiński, typ młodego i poczciwego w gruncie rzeczy szlachcica, który, goniąc resztkami ojcowizny, opęda się, jak może, przed dłużnikami i, nie tracąc nigdy dobrego humoru, rozwesela całe towarzystwo dowcipkami i opowiadaniem o niebywałych rzeczach; następnie rezydent Trocki, ex-obywatel, zasadzający całe szczęście na dobrym obiadku; Iotr Lisiński i nakoniec, najlepiej może po Grzywie wykonana, postać: świeży obywatel wiejski przechrzta Goldeifer, człowiek bardzo poczciwy, a z drugiej strony niepomniernie komiczny przez swe nieustanne pretensje do szlachectwa.

Sądziłibyśmy, że zgola niepotrzebnie wtrącił autor do wątku powieściowego opowiadanie o marnotrawnym synie Tęczyńskiego Stanisławie, który nabroiwszy sporo zagranicą i przyczyniwszy długami swemi niemało kłopotów ojcu, wyjeżdża nagle do Ameryki, aby tam ciężką pracą wynagrodzić poprzednie swe błędy. Dlaczego postanawia zrazu nie dawać o sobie rodzinie najmniejszego znaku życia, dopóki nie wróci do kraju szwagracem; dlaczego później wznowia korespondencją potajemną z siostrą Zofią, używając do tego przyjaciela swego Antosia Grzywy, który następnie rozkochuje się w pięknej Tęczyńskiej; dlaczego wreszcie ów Antoś, wyjechawszy do Ameryki, przebywa olbrzymie przestrzenie bezludne, stacza walkę z Indianami i wkońcu wydobywa z ich rąk Stanisława, przez co wygląda zupełnie jak jakiś bohater w opowiadaniach dla dzieci, skreślonych przez pedagogów angielskich lub francuzkich? Doczego to wszystko — zgola zrozumieć nie możemy. Wszystkie takie ustępy luźne nie przyczyniają się w niczem bynajmniej do wyjaśnienia głównej idei, a natomiast stanowią tylko niepotrzebny balast, zanadto rozszerzający ramy powieściowe.

Pomimo atoli te wszystkie błędy powieść Rogosza należy bądź co bądź do rzędu lepszych naszych utworów belletrystycznych czasów ostatnich. Niewątpliwie pod względem artystycznym jako całość szwankuje mocno: brak jednolitości akcji, brak staranniejszego, bardziej wyrazistego wycieniowania pewnych postaci, zwłaszcza stanowiących biurokracyą miejscową, wreszcie zbyt

przeładowanie ustępami, niemającymi ściślej-
go związku z głównym tokiem opowiadania — to
wszystko przemawia na niekorzyść utworu. Je-
dnakże ci, co zwykli nie poddawać się pierwsze-
mu wrażeniu i zawsze rozpatrują się pilnie
w szczegółach utworu, będą zmuszeni przyznać
Grabarzon niemałą wartość, która poczęści stanie
za wszystkie wyżej wymienione błędy. Oto przed
oczyma naszymi przesunął autor w kilku miej-
scach znakomicie skreślony epizod z życia galicyj-
skiego: z całego tła ciemnego, na którym życie tej
prowinicy się rozciąga, dał nam wykravek smut-
ny, co prawda, jak całe tło, ale — prawdziwy. Nie-
stety, Darski, radca, lub Tusowicz, inspektor po-
datkowy, (może to wszystko jest jeszcze pozosta-
łością z dawnych czasów biurokracizmu austriac-
kiego) nie są tam rzadkością, jak również nie są
rzadkiemi podobne agitacje przedwyborowe, świad-
czące o zupełnym zaniku poczucia obowiązków o-
bywatelskich i braku jasnych na sprawy publiczne
poglądów. Prywata i widoki czysto osobistej na-
tury górują wszędzie, a taki człowiek, jak Tęczyń-
ski (acz w powieści jest postacią mało czynną),
należy do wyjątków. Możeby dało się jeszcze
uczynić zarzut autorowi, że typ dodatni w swej po-
wieści wziął ze sfery arystokratycznej, która, jak
wiadomo, wyobraźnielką znaczniejszej części społe-
czeństwa żadną miarą być nie może; rzecz to je-
dnakże będzie zbyt małej wagi, gdy zważymy, że
autorowi nie szło o charakterystykę arystokracji,
lecz tylko o położenie nacisku na nierozsądne, nieo-
parte na podstawach rozumnych, a kierowane tyl-
ko zawzięcia sady stronni ludzi złych i głupich,
niezdolnych z masy zepsutej wyróżnić zdrowych
człowieków.

J. Nitowski.

CZTERYSTU

Życie towarzyskie w New-Yorku.

W Filadelfii zapytują cudzoziemca: „Kto
był twoim dziadem?“, w Bostonie: „co umiesz?“
w New-Yorku zaś „co posiadasz?“ W Fila-
delfii zatem mają na względzie dobre towa-
rzystwo, w Bostonie wymagają wykształce-
nia, w New-Yorku — li tylko pieniędzy. Jest
to jednak złośliwa potwarz, którą odrzuca
z pogardą i oburzeniem każdy mieszkaniec tego
miasta a szczególnie współczłonkowie bractwa
„Czterystu“, uważając tę opinią, za wynik zazdro-
ści miast siostrzanych. Główną bowiem cechą
„Czterystu“ jest duma rodowa i ambicja wy-
kształcenia.

„Czterystu?“... Tak, *czterystu*, miłe czytelniczki.
Zapewne nie domyślasie się znaczenia tego wyra-
zu? Otóż „Czterystu“ w New-Yorku jest śmietanką
śmietanki towarzystwa — „Society“ wielkim S wy-
pisane. Jest to główne towarzyskie kółko — najświe-
niejsze w tym świecie, gdzie się tak straszliwie
nudzą a tak rzadko bawią; są to ludzie, których
wszelkie czynności, rozrywki, wymawiane słowa,
zajmują wszystkich innych śmiertelników do tego
stopnia, że najobszerniejsze dzienniki poświęcają
im codziennie najmniej jedną szpalnę druku
„Czterystu“ — są to ludzie, którzy się kształcą, ażeby
być ozdobą towarzystwa amerykańskiego — kwia-
tem jego, — ludzie, którzy w rzeczywistości wy-
różniają się tylko tem od swoich współrodaków,
że, o ile można, naśladować wiernie obyczaje Pary-
ża i Londynu.

Wszystkie wielkie amerykańskie miasta posia-
dają takieżsame kółka, wobec których wszakże
New-Yorkie „Czterysta“ jest jakoby dwór ce-
sarski w Niemczech wobec drobnych panujących
książątek.

Ale skąd ta nazwa powstała? Przed dwa
czy trzema laty wybór towarzystwa nosił
tak w New-Yorku jak i w innych miastach amery-
kańskich miano „kółko dziesięciu tysięcy“, ale
dzięki fantazji sprytnego adwokata *Society* po-
zyskała nazwę „Czterysta“. W tej liczbie,

znajdują się osobistości, nietylko stanowiące
ozdobę towarzystwa ale również ludzie potrzebni
i pożyteczni. Pomiędzy tymi ostatnimi odznacza
się i na pierwszym trzyma planie niejaki pan A.
prawnik z zawodu, z dobrej pochodzący rodziny,
ale bardzo miernego majątku. Jest to prawdziwy
geniusz co do pomysłów przy urządzaniu zabaw
i uroczystości; wybredny nad wszelkie wyobraże-
nie, a że nikt co do oryginalności i obfitości pomy-
słów waleczyć z nim nie może, stał się więc nieod-
zownym towarzystwu i niemal samowładnym jego
panem.

Przed kilkoma laty, tenże sam pan A. zamieścił
w jednej z gazet swoje poglądy na wybór dobre-
go towarzystwa i przy tej sposobności nadmienil,
że gdyby tylko wyborowe towarzystwo w Nowym-
Yorku zebrało się na bal, liczba jego ograniczyłaby
się do czterystu osób. Zdanie to, lekkomyślnie
rzucane, stało się prawidłem, pomimo luźnych
protestów, drwin i komeraży wywołanych oppo-
zycją ze strony większej części adwokatów. Szpalty
pism miejscowych zajmowały się tą sprawą przez
przeciąg kilku miesięcy. Drukowano spisy rodzin,
bezwzględnie mających prawo bywania na dwa-
rach, ażeby wykazać, że, licząc tylko towarzystwo
młodsze, tańczące, już znalazłaby się znacznie
większa liczba nad czterysta.

Pan A., chcąc odeprzeć gromy pocisków przeci-
wno sobie, bronił się nieporozumieniem, jak to
zwykle czynią osoby wyżej postawione, gdy zbła-
dzą nieogólną mową. Twierdził on, jakoby wła-
ściwie chciał powiedzieć, że Nowy York nie po-
siada żadnego prywatnego salonu dość obszernego,
w którymby więcej nad czterysta osób wygo-
dnie pomieścić się mogło. Lecz było już zapóźno:
bogini historii, niebacznie te słowo zapisała już
na swoich kartach, i odtąd wyższe towarzystwo
na seryo zaczęło nazywać mianem „czterystu“. Prawdopodobnie nazwa ta na długo jeszcze pozo-
stanie. Pan A. stał się tym sposobem sławną o-
sobistością, a jako praktyczny Amerykanin skorzy-
stał ze zdobytego rozgłosu, aby napisać książkę
zatyulowaną „Towarzystwo tak jak ono się przed-
stawia“ i tym sposobem przysporzyć sobie znacz-
ne źródło dochodu. Gdy więc w New-Yorku mówią
o „czterystu“, oznacza to tych, którzy korzystają
z przywilejów amerykańskiego życia, a głównie
z dostatków z nieco więcej niezależnego stanowiska
kobiety w Ameryce, a zarazem ze zwyczajów euro-
pejskich. Wprawdzie w kółku tych ludzi młode pa-
nienki nie bywają nigdy na zebraniach bez stoso-
wnej opieki, lecz wzamian zameżne panie używają
przywileju zachwycania sobą nietylko swoich mę-
żów. Znaczna też liczba młodych ludzi z tego
grona żyje tylko z dochodów ojcowskich i nigdy
w życiu nie pracowała. Są to właściwości wyjąt-
kowe zupełnie, obce czynnemu i pracowitemu
Amerykaninowi. Byłoby jednak niesłusznem
nowo-yorcką arystokracją nazywać arystokra-
cją pieniężną, ponieważ do jej liczby należy
wiele rodzin bardzo średnio majątkowo upo-
sażonych. Na potwierdzenie tych słów doda-
my, że przed dwoma laty królową towarzy-
stwa była córka biednego dziennikarza, która po-
wodzenie swe w świecie zawdzięczała li tylko
swojej piękności i nader ujmującemu ułożeniu.
Świetne małżeństwo, które zawarła przed kilka-
mi laty, wyprowadziło ją z trosk i z groźącej biedy.
Bez wątpienia, że jądro tego towarzystwa stanowi
kilka rodzin wyjątkowo bogatych, które w cza-
sach, gdy miasto było jeszcze bardzo małe, umiesz-
czały swe kapitały w przedsięwzięciach budowla-
nych a obecnie jako milionerzy wygodnie żyją
z procentów i mają dość zajęcia inkassując swe
pieniądze. Posiadają oni całe ulice najpyszniej-
szych i najkosztowniejszych domów w mieście, a
kapitały swe liczą tylko na miliony.

Te bajecznie bogate rodziny stanowią jakby
basztę, o którą rozbija się wiecznie szumiąca fala
reszty towarzystwa. Kto posiada tylko dużo pienie-
dzy, łatwo do tego kółka należeć może a cudzoziemcy
zwalaszczą herbowi, z rozkoszą są przyjmowani, An-
glicy zaś zawsze dobrze widziani, nawet bez tytu-
łów, gdyż jedną z wybitnych cech „Czterystu“ jest
zachwyt nad wszystkim, co angielskie. Książę
Walii jest tu literalnie ubóstwianym. Kółko „Cze-
rystu“ posiada własny swój organ, przez wszystkich
członków czytany, lecz nie można ich z własnych

ich opisów sądzić, gdyż bynajmniej nie są tak zli
w gruncie, jak się nam przedstawiają. Zresztą
każde znaczniejsze pismo w New-Yorku ma swe-
go specjalnego redaktora od zebrań towarzystwa.
Redaktor ów obowiązany jest być osobiście na
każdej uroczystości i ciekawemu ludowi opisać jak-
najdokładniej każdy strój, każdy nowy klejnot
głośniejszej piękności, kolor wstążki, wzór koronki,
wszelkie uchwycone szczegóły z prywatnego życia
„Czterystu“, jednym słowem: spełnić zadanie repor-
tera dworskiego. Wyższe to towarzystwo stara
się przepędzać w domu jaknajmniejszą część roku,
ponieważ moda wymaga bezustannej niemal
podróży z jednej części świata do drugiej, co zre-
szta zawsze było upodobaniem Amerykanów.

Skoro jaka rodzina powróci do New-Yorku po
Bożem Narodzeniu z Tuxedo, rzuca się natych-
miast w zamek życia światowego, co trwa przez
dwa miesiące aż do środy popielcowej. Podczas
postu osoby nabożniejsze zadawalnają się odczy-
tami, zbiorowem czytaniem lub miłosierdnymi u-
czynkami, niepoprawnym zaś światowcom nie wy-
starcza ta spokojna atmosfera prywatności i poświę-
cenia: jada więc szukać łagodnego powietrza i słonecz-
nych dolin Florydy, gdzie rozkosznie dnie po-
stu przepędzają, dopóki dzwon Wielkanocy nie
zawezwie ich napowrót do kraju. Inni, nie
chcąc na tak długo wydalac się z domu, jadą tylko
do jodłowych lasów w Lakewood, lub też do
Atlantic City. Na święta Wielkanocne wszyse-
ją na miejsce, ponieważ w tygodniu świątecznym
odbywa się bardzo wiele ślubów, na których trze-
ba być obecnym, chcąc zaznaczyć swe towarzyskie
stanowisko. Następnie, w kilka tygodni po świę-
tach, należy już myśleć o wiosennych strojach,
nadchodzi bowiem pora wizyt pożegnalnych, a
każdy odpływający okręt unosi na falach oceanu
setki rodzin, podążających do Paryża lub Londynu
li tylko w celu zabawy. Obiedwie stolice są już
podówczas w pełni sezonu wszelkiego rodzaju roz-
rywek, a piękne córki Jonathana i dorodni i bogaci
ich bracia, są jak w Londynie tak w Paryżu zaw-
sze mile widzianymi gośćmi. Po dwumiesięcznym
tam pobytku, jeżeli się nie chce pędzić do Hom-
burga w ślad zaksięciem Walii, lub do Aix za przy-
kładem francuskiej arystokracji, powraca się do
domu i, naturalnie, zatrzymuje się po drodze
w Newport. Tu bawi się dopóty, dopóki wiatr
morski wrześniey nie stanie się zbyt ostrym i
wilgotnym. Wtedy jedzie się w pyszną okolicę
gór Berkshire, gdzie w Lennox i Stokbridge zbiera
się znów towarzystwo „Czterystu“, aby podziwiać
piękność natury i wiejskimi wycieczkami wzmac-
niać zdrowie na nadchodzącą zimę. Początek Paź-
dziernika to znów epoka ślubów: powraca się
więc do New-Yorku lecz nie na długo; wszak
w Lennox tak uroczu — a wiejskie wille dopiero
w początkach Listopada pustoszeją.

Listopad w mieście! W tym-to miesiącu towa-
rzystwo „Czterystu“ niesłychanie jest zajęte.
Trzeba myśleć o zimowych toaletach; młodzież
mająca poraz pierwszy w tym roku ukazać się
w świecie musi się już przedstawiać, ażeby otwo-
rzyć sobie wstęp na grudniowe uroczystości w za-
miejskich willach dygnitarzy. Po załatwieniu tego
światowego obowiązku wyjeżdża się znowu, po
większej części do Tuxedo, uroczego wiejskiego
ustronia, wśród jezior stanu New-Yorskiego. Tutaj
to, przepędza się czas do Nowego Roku. Święta
Bożego Narodzenia obchodzi się cicho, li tylko
w kółku rodzinnem; wieczór sylwestrowy nieco
hucniej wśród wesołego grona przyjaciół. W po-
czątku Stycznia zwyczaj wymaga, aby powrócić
do miasta i nanowo rozpoczyna się tensam tryb
życia, jaki wyżej opisaliśmy.

Naturalnie, względnie tylko pewna część osób
należących do towarzystwa program ten wypełnia
całkowicie, ale niektóre warunki bezwzględnie
spełnić potrzeba, jeżeli się chce należeć do grona
„Czterystu“. Osoby, które cały rok w mieście
przepędzają, są również w ciągłym ruchu, jeżeli
tylko chcą oddać się światu i jego rozrywkom.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu ma powstać wkrótce pierwsza szkoła dla służących kobiet. Będą uczyć się tam, obok obowiązków służby, robót kobiecych i pielęgnowania kobiet.

— Warszawska służba zdrowia liczy wolno-praktykujących kobiet lekarzy 4, trzy dentyści, sześć felczerek, 260 lekarek chorób kobiecych.

— Rada Miejska Dobroczynności publicznej za-twierdziła roczny etat dla 30 Sióstr Miłosierdzia czynnych i 40 emerytek, oraz na utrzymanie 100 sierot dziewcząt wychowywanych w Instytucie S-go Kazimierza. Wydatek jest 25.525 rs., do-chód pewny 19.770 rs.

— Rada Miejska Dobroczynności publicznej wy-dała z zapisu ś. p. Tekli Świergockiej 474 rs. do rozdziału pomiędzy ubogie wdowy lub sieroty po zegarmistrzach. W braku takich wsparcie to do-roczenie rozdziela się między ubogich zegarmi-strów lub uczniów zegarmistrzowskich.

— P. Marta Adelstein otwiera w mieście na-szem szkołę specjalną nauczania języka francuz-kiego, niemieckiego i angielskiego.

— Towarzystwo Jedwabnicze udzieliło, po od-bytym egzaminie w zakładach jedwabnictwa P. Boguckiego, świadectwa z ukończenia nauki jed-wabnictwa pp. Antoninie Brun (z odnaczeniem), Lucynie Jabłońskiej, Maryi Kloczkowskiej, Kry-stynie Osieckiej, Wiktorii Rogowskiej, Antoninie Rzęśniewskiej (z odnaczeniem), Janinie Sławiń-skiej, Teofilii Śpiewak (z odnaczeniem), Maryi Stojowskiej, Józefie Szychowskiej, Maryi Żelecho-wskiej.

— Szkoła gospodarstwa kobiecego hr. Cecylii Platerówny w Chyliczkach skończyła rok istnienia. Szkoła ta przeznaczoną jest dla dziewcząt średnie-go stanu i córek włościańskich, kurs nauki jest trzyletni, w którym-to czasie uczennice obznajomić się mogą tak z kierownictwem całego gospodarstwa kobiecego, jak z wykonywaniem własnoręcznem każdej w zakres ten wchodzącej pracy. Zamiar-em zacnej kierowniczki tej szkoły jest otwarcie drugiego oddziału szkoły: dla panienek z klas za-możniejszych, które z czasem kierować będą wła-snem gospodarstwem. Obecnie brak funduszu na wzniesienie szkoły stoi temu na przeszkodzie; po-winienby przecież fundusz ten się znaleźć; bywa wiele zapisów na cele użytku publicznego, pomoc we wzniesieniu tej szkoły podciągnięta-by być powinna pod tą rubrykę. Jak są inteligentni po-mocnicy w zakresie gospodarstwa męskiego, rząd-cy, tak mogłyby się wytworzyć podobne pomoc-nice w zakresie kobiecego, obznajomione należycie z rozmaitemi jego gałęziami, a byłby to zawód pracy o wiele pewniejszy, niż uczenie się tych roz-maitych wytworniejszych rzemiosł kobiecych z za-kresu sztuki stosowanej, które, poplącąc gdzie-indziej, u nas z wielką trudnością dać mogą bar-dzo skąpy kawałek chleba niewielkiej liczbie osób. Hr. Platerówna pragnie wytworzyć również w miejsce bon zagranicznych bony nasze; kursa freblowskiej metody dla bon mają być otwarte we Wrześniu b. roku przy warszawskiej szkole rze-miosł hr. Platerówny.

— P. Bilińska z męża Bogdanowiczowa, przeby-wająca w Paryżu, zamierza się osiedlić w mieście naszym, gdzie ma założyć szkołę malarstwa dla ko-biet. Spodziewać się można, że pod takim kierun-kiem artystyczne zdolności kobiet naszych rozwijać się będą szczęśliwie i z pożytkiem dla kraju.

— Na Wystawę Towarzystwa sztuk pięknych nadesłała Marya Geneli pastelowy „portret da-my,” Marya Gażyecz studjum „Dama,” Bronisława Poświkowa studjum „Kwiaty,” Emilia Lindeman cztery obrazki: „Kwiaty,” „Owoce,” „Odaliska,” „Ulica po deszczu.” Nabywców znalazły prace: „W lesie” M. Gażyecz, „W lesie grabowym” Józefy Paszkiewiczówny.

— P. Zofia Grabowska zamierza otworzyć przy prowadzonej przez siebie freblowskiej szkółce dziewcząt oddział uczennic kształcących się na bony i niańki. Program obejmuje obznajamianie uczennic ze wszystkimi pożytecznymi zabawami i zatrudnieniami dzieci od lat 4—7, jako to: wycina-nie z papieru, struganie drzewa, lepienie z gliny, plectenie, rysunki początkowe, szycie, krój, napra-wianie bielizny i t. d. Przy braku pracy dla ko-biet zastąpienie bon zagranicznych byłoby już ko-rzyścią niemłą, ale większą, stokrotnie większą, jest ta, że usunie się przedwczesna nauka języka obcego, szkodliwa w wieku pierwszego dzieciń-stwa. Wyrabia się tu pamięć jedynie, lecz za to szwankuje rozwój inteligencji, jak to jest już rze-czą dowiedzoną.

— Zmarła p. Kazimiera z Raszkowskich Po-cierska przeznaczyła ostatnią swą wolą 6.000 rs. ośmiu sługom, które w ciągu ostatnich lat kilku-nastu były u niej w obowiązku. Siedm zpomie-dzy nich otrzymało już przeznaczone sobie le-gaty, brakuje tylko jednej, tej właśnie, dla któ-rej przeznaczoną była summa największa 1.200 rs., która złożoną została jako depozyt do Banku państwa. Nazwisko jej panińskie jest Antonina Durzakówna, wyszła za mąż za Felixa Jorana i wyjechała z nim do Cesarstwa.

— Krakowska szkoła sług liczyła w ciągu roku 373 uczennic. Do końca roku uczęszczało 160. Najpilniejszym przyznano nagrody pieniężne.

— Nauczyciele wyższych kursów dla kobiet imienia Dra Baranieckiego w Krakowie, stosując się do polecenia rady miejskiej, przedstawili pro-jekt nowej organizacji tego pożytecznego, 23 lata istniejącego zakładu. Zdaniem tychże nauczycieli, kursa powinny być i nadal utrzymane według gło-wnych zasad swej dotychczasowej organizacji i zadaniem ich jest takie uzupełnienie wiadomości z zakresu nauk literackich, aby uczennice posiada-ły wykształcenie odpowiadające dzisiejszym wy-maganiom społecznego i rodzinnego życia. Obok dwóch wydziałów: literackiego i przyrodniczego, wydział artystyczny kształciłby uczennice swoje w rzeźbiarstwie i malarstwie. Były tu poprzednio różne niedobory nauczania, pochodzące przecież, nie z winy kierunku szkoły, ale funduszków odpo-wiednich. Plan szkoły obecnie ułożony przezna-cza dwanaście godzin tygodniowo na przedmioty literackie, drugie dwanaście godzin na nauki przyrodnicze. Uczennice zdolne i chętne mogą za-tem ukończyć oba wydziały w przeciągu lat dwóch. Ze względu na koszt kurs każdy dzieliłby się na dwa kwartały, to jest obejmowałby sześć miesię-cy. Grono nauczycielskie zakładu ma nadzieję, że miasto nie potrzebowałoby dokładać więcej nad 1.800 zlr. rocznie. Co do kierownictwa, grono nauczycielskie proponuje, aby spoczywało ono w ręku samych profesorów, mianowanych na pe-wien przeciąg czasu przez radę miejską, która wybierałaby corocznie przewodniczącego, ten zaś reprezentowałby zakład, oraz czuwał nad kierun-kiem nauki i porządkiem wewnętrznym.

— Kwestya pracy kobiet samotnych z klas ukształconych zaczyna w Anglii niepokoić ludzi dobrej woli. Stowarzyszenia kobiece zajmują się nią szczególnie, bo gdy kobieta z ludu znajdzie zawsze pracę dającą jej możność utrzymania, tak w fabrykach, jak i w innych podobnych pracy gałę-ziach, kobieta z nawyknięciami delikatniejszemi,

z mniej rozwiniętą siłą fizyczną, spotyka na dro-dze swojej trudności wielkie, często przewyciężyć się niedające. Jedną z gałęzi pracy, którą dla kobiet z tego zakresu popiera rząd angielski, jest kształcenie się na lekarki, które praktykowałyby w Indyach, gdzie przepisy religijne nie pozwalają leczyć się kobiecie u lekarza. Obecnie wysłano kosztem rządu do Bombaju trzydzieści lekarek, doktoryzowanych przez uniwersytety Anglii i Irlan-dyi. Ameryka, szczególnie Stany Zjednoczone już przedstawiają wiele miejsca wolnego dla zarobku, jakkolwiek praca kobiet rozwiniętą jest tam w za-kresie o wiele znaczniejszym. Obecnie właśnie miss Parker, architekt, wykończyła w Nowym Yorku budowę olbrzymiego gmachu na fabrykę żelaza.

— Wobec trudnych warunków utrzymania się w Londynie kobiet wyższego stanu a mniej za-możnych, miss Marya Campbell ogłosiła drukiem uwagi swoje nad potrzebnymi tu zmianami. Ko-biety z tych klas towarzystwa posiadające pewien kapitał, z którego się utrzymują, zanadto cisną się do miast; życie na wsiach byłoby tańsze i łatwiejsze, zwłaszcza dla tych, które mogłyby sobie kupić domek, choćby chatę tylko, i urządź-wszy ją sobie odpowiednio, żyć tam, gdzie wszystko taniej kosztuje. W skutek tych uwag lady Anna Campbell zbudować ma w dobrach swoich, we wsi parafialnej, sześć domków małych i tak prostych, aby komorne taniem być mogło. Obok tego pani ta odezwała się przez czasopismo: „Work and Lei-sure” do pań ziemianek, aby postąpiły podobnie, a byłoby to uczynkiem dobrym, bez żadnego z ich strony wydatku dobroczynnego, bo procent od ka-pitału niewątpliwie byłby odpowiedni. Kwestya poruszyła umysły i drugie czasopisma londyńskie, bardzo poczytna gazeta „Morning Post” odezwała się, zachęcając kobiety, aby stawały się farmerka-mi, to jest pracowały na małych gospodarstwach wiejskich.

MYŚLI.

— Życie jest błyskawicą między dwiema cie-mnemi chmurami.

Herodot.

— Świętym jest na ziemi, kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi.

Mickiewicz.

— Ludzie małoduszni giną w cieniu epok wiel-kich, wielkoduszni w cieniach czasów małych.

Byron.

— Rozłączenie jest dla miłości tem, czem wiatr dla płomienia: gasi ogień mały, rozdmuchuje pożar wielki.

Baltazar Gracyan.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się: Arkusz 10 powieści pod tytułem **Złudzenie i rze-czywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Kobiety szwedzkie. — Krzysztof Kolumb (dalszy ciąg). — Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Przegląd piśmienniczy, przez J. Nitowskiego. — „Czterystu” Życie towarzyskie w New-Yorku. — Kronika działalności kobiecej. — Myśli.

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 18 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Kołnierzyk dziecienny (robotą szydełkową).

Rycina Nr 15 i 16 w Bl. Nr 29.
Kołnierzyk wykonany szydełkiem, krętą bawełną koloru żółtawego. Ryc. Nr 16 przedstawia część oryginalnej wielkości, złożony jest z trzech rzędów gwiazdek stopniowanej wielkości. Na każdy rząd należy wykonać 18 gwiazdek i łączyć takowe podług ryciny. Przestrzenie próżne wypełnić małymi gwiazdkami. Deseń jest tak wyraźny a sposób wykonania znany, że nie widzimy potrzeby szczegółowego opisu. Największa gwiazdka rozpoczęta na założeniu w kółko 12 powietrznych oczek.

Czepek ranny z koronki i wstążki.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 29.
Foremka z petynетки białej 24 c. dług. a 8 szer., zwięziona ku bokom na 2 c., otoczona koronką 8 c. szer., ułożoną w kontrafałdy. Tylny brzeg karczka oszyty tą samą koronką zszytą razem. Główna z tejże koronki ułożona bufiasto. Kokardy z wstążki koloru ponsowego 2 c. szer. wykończają całość.

Stroik na głowę dla starszej osoby.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 29.
Foremka z petynетки czarnej 28 c. długa, z przodu ścięta w ząb a po bokach zwięziona, pokryta czarnym aksamitem złożonym w tylnej części w dwie fałdy zwrócone ku sobie. Tylny brzeg karczka otacza czarna koronka 5 c. szer., przedni zaś brzeg otoczony dwa razy wązkim szlaczkiem z perełek szmelcowanych. Przybranie stanowi czarna koronka 7 cent. szer., ułożona w dwie kokardy umocowane dwoma pasmanteryjnymi figurami z perełek.

Przepaska na głowę dla panienki

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 29.
Wykonać wałeczek z drutu i waty 39 c. dł., otoczyć podług ryc. różową aksamitną wstążką 2½ cent. szer. Przedni brzeg przybrać kokardą z tejże wstążki.

Koszulka bluzkowa.

Rycina Nr 27 w Bl. Nr 29. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 46—49).
Koszulka z białego batystu, ozdobiona haftem wykonanym ponsową bawełną. Skrajać fig. 46 dwie części. Fig. 47 jedną część złożoną wzdłuż środka, pierwszą z nich wyłożyć wzdłuż linii zgięcia, wykonać fałdy, trafiając każdy ½ na kropkę, pomiędzy fałdami ozdobić paskiem batystowym stebnowanym, lewą przednią część zaopatrzyć w guziki, prawą w dziurki i pod pierwszą fałdą przyszyć falbankę 4½ c. szer. dzierganą ponsową bawełną. Plecy zaopatrzyć w tasiemkę do ściągania i połączyć z przodami. Skrajać pasek do szyi, oraz kołnierzyk z cienkiego płótna, podkładu i podszewki podług fig. 48 i 49 złożone wzdłuż środka połączyć podług cyfr a z przodu wykonać dziurki w opasce. Rękawy podług fig. 37 z uwzględnieniem konturu spodnich części, które należy skrajać krócej a ku dołowi rozszerzyć, pozostawiając rozprek na 13 cent. dług. Zmarszczyć dolny i górny brzeg od * do *, wszyć w mankiety 23 c. obwodu a 6 c. szer. z płótna, podkładu i podszewki, zaopatrzyć w dziurki i wszyć w koszulkę.

Napierśnik.

Rycina Nr 28 w Bl. Nr 29. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 50—52).
Wykonać fig. 50 z szlaczków haftowanych i płótna jedną

część, zaopatrzyć takową oprócz szlaczków podkładem i podszewką, przyszyć do tylnej części od 24 do 25 i wszyć kołnierzyk z płótna. podkładu i podszewki. Zapinać z tyłu.

Półkoszulek.

Rycina Nr 29 w Bl. Nr 29.
Skrajać dwie części zefiru koloru żółtawego 44 c. wys. a 28 c. szer. i połączyć przez środek szlaczkiem haftowanym, z pod którego materiału należy wyciąć, po bokach dwie fałdy są ku sobie zwrócone, jak wskazuje ryc. Zaokrąglić wycięcie szyi i wszyć kołnierzyk 4 c. szer., pokryty materiałem fałdowanym, zapięty z tyłu.

Suknia z materiału wełnianego.

Rycina Nr 1.
Suknia z materiału prażkowanego koloru granatowego, przybrana w dolnej części dwoma falbankami z mory czarnej. Pierwsza falbanka tworzy główkę. Stanik w rodzaju fraczka przybrany morą, częścią zapinany na haftki a częścią na guziki. Część w rodzaju kaftanika przybrana wyłogami z mory i guzikami. Pasmańterya z plecionki czarnej ze złotem wykończy całość podług ryc.

Suknia z materiału jedwabnego.

Rycina Nr 2.
Suknia z materiału lekkiego jedwabnego w pasy czarne i różowe, przybrana białym jedwabnym mulem, takimiż falbankami dzierganymi czarnym jedwabiem i czarną atlasową wstążką. Dolna część

przybrana trzema falbankami ukośnie skrajaniem i marszczonemi. Stanik marszczony. Napierśnik z mulu układanego w bufki, rękawy pół długie bufiaste, przydłużone nieco bufkami z mulu. Przybranie ze wstążki podług ryc. wykończy całość.

Koronka wykonana szydełkiem.

Rycina Nr 3.
Koronka wykonana szydełkiem krętą bawełną Nr 60, w poprzek tam i napowrót. Rozpocząć na założeniu 28 oczek i wykonać podług ryc., która jest bardzo wyraźna i nie potrzebuje szczegółowego opisu.

Suknia dla młodej osoby (krój bébé).

Rycina Nr 5 (do ryc. Nr 34 w Bl. Nr 31). Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 41—51.
Suknia z białego wełnianego muślinu. Karczek koronkowy. Skrajać z podszewki fig. 41—44 po dwie części. Rękawy podług fig. 49 z uwzględnieniem konturu spodnich części. Wykonać zaszewki w przednich częściach, oraz małe fałdy, zeszyć plecy, boczki i przednie części, oprócz szwów ramiennych a tylną część zaopatrzyć w haftki do zapinania. Spódnica z białej satinki ma długości z przodu 106 c., z tyłu 113 c. a obwodu 224 cent., w dolnej części obszyta na 14 c. wys. materiałem. Karczek skrajać podług fig. 45 i 46 z koronki 4 c. szer., oraz wstążki gazowej 2½ c. szer. a po zeszyciu połączyć z podszewką. Wierzchnią spódnicę skrajać podług fig. 47 jedną część złożoną wzdłuż środka. Fig. 48 dwie części i zeszyć od 3 do 13, oraz od 14 do 15. Dolna część przybrana falbanką 12 c. szer., zmarszczoną na sznureczek i szlakiem z wstążki gazowej i koronki 6 c. szer. Karczek otoczony koronką marszczoną 14 cen. szer. Rękawy z podszewki zeszyć, skrajać bufę podług fig. 50 z materiału na wzdłuż złożonego, zmarszczyć od ½ do ½, a od * do * przyszyć do podszewki. Wykończyć koronką podług ryciny. Wstążka niebieska repsowa 9 cen. szer. opasuje stan tam i napowrót, związana na boku. Plecy przybrać podług ryc. wstążką nieco węższą tegoż koloru co szarfa i pasek.

Suknia z materiału krepowanego w pasy ozdobiona gipiurą.

Rycina Nr 6.
Suknia krojem „princesse,” zapinana z boku z materiału krepowanego w pasy koloru „écru” i białe. Stanik przybrany rodzajem kaftanika z koronki gipiurowej irlandzkiej. Poniżej wcięcia przybranie z białej jedwabnej wstążki, zakończzone z przodu kokardami, z tyłu zaś kokardą z długimi końcami. Dolny brzeg sukni otoczony wązką riuszką.

Suknia z materiału wełnianego i „surah.”

Rycina Nr 7.
Suknia z materiału wełnianego koloru piaskowego, przybrana tegoż koloru „surah.” Spód-



Nr 1 i 2. Suknie spacerowe.

dnica 110 c. dług. z przodu a 130 c. z tyłu, podszycia cała lekkim jedwabnym materiałem. Dolny brzeg przybrany 3-ma falbankami układanymi w kontrafaldy, po nad którymi przyszyta listwa 4 c. szer. z „surah“. Pasek fałdowany, nieco z przodu spiczasty, spięty z tyłu na klamrę. Napierśnik z „surah“ i takiż żabot z materiału podwójnie złożonego. Kołnierzyk stojący z „surah“ i górne rękawy, dolna zaś tychże część z materiału wełnianego przybrana guzickami i pentelkami ze sznurka.

Suknia z muślinu wełnianego ozdobiona koronką i wstążką.

Rycina Nr 9.

Suknia z muślinu koloru lila, przybrana białą koronką i zieloną wstążką podług ryc.

Suknia z podwójną spódnicą.

Rycina Nr 10.

Suknia z kaszmiru „mauve“ i „faille“ koloru zielonego. Spodnia spódnica z „faille“, wierzchnia zaś skrajana razem ze stanikiem z kaszmiru, ozdobiona pasmanterią zieloną.

Kapelusz dla młodej osoby.

Rycina Nr 12.

Kapelusz okrągły ze słomy fantazyjnej koloru tabaczkowego. Rondo podszyte tiulem jedwabnym tegoż koloru podwójnie złożonym. Przybranie stanowi wstążka „naeré“ 9 c. szer. koloru różowego ze spodem atlasowym i 2 piórka koloru brązowego wpięte podług ryc.

Torebka do robót ozdobiona haftem.

Rycina Nr 15. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XXII, fig. 87).

Torebka w rodzaju „pompadour“ 55 c. wys. a 31 c. szer., wykonana z fularu surowego, zaopatrzona podszewką jedwabną koloru lila. Wierzchnia część przybrana haftem wykonanym ściąganiem płaskim i supelkowym rozpołowioną filozelą lila, poziomkową i oliwkową podług deseni fig. 40. Riusza z materiału jedwabnego koloru lila i tegoż koloru wstążki.

Krzesło ozdobione szlakiem haftowanym.

Rycina Nr 16, 14 i 18.

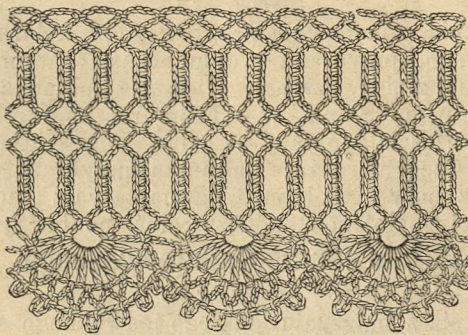
Krzesło bambusowe, którego grzbiet, oparcie i siedzenie, pokryte haftowanym szlakiem, złożonym z trzech pasów, z których środkowy 29 c. szer. wykonany na tkaninie koloru ponsowego, a dwa boczne po 8½ cent. szer. na tkaninie koloru żółtawego. Szlak środkowy podług ryc. Nr 18 wykonany bawełną żółtą i niebieską ściąganiem płaskim i krzyżowym. Ściąg płaski wśród otoczenia niebieskiego bawełną żółtą a w tych

ostatnich ściąg bawełną niebieską. Ściąg płaski w figurach gwiazdowych częścią odmiennym kolorem a częścią ściąganiem podłożnym w kolorze otoczenia. Narożne figury w rzędach ukośnych bawełną niebieską i pomiędzy ściągami kilka żółtą bawełną. Wąskie pasy ryc. Nr 14 wykonać w podobny sposób, ale zamiast ściaga krzyżowego wykonać ściąg Holbejn'a a otoczenie ponsową bawełną. Połączyć pasy, zszyć pokryw szwem krzyżowym bawełną niebieską. Całość wykończyć grubym kolorowym sznurem, oraz frendzlą pasmanteryjną zakończoną bombelkami, górny zaś brzeg podług ryc. sznurem z kwastami.

Szlak pasmanteryjny do ozdoby okryć, sukien i t. p.

Rycina Nr 17.

Szlak wykonany szydełkiem grubym kordonkiem koloru czarnego, oraz krętą złotą nitką. Złożony



Nr 3. Koronka wykonana szydełkiem.

jest z rzędu gwiazdek. Rozpocząć na założeniu wzdłuż stosownej do potrzeby ilości oczek.—1 kolej: oczko opuścić, ciągle 1 ściąg. łańc. o. w następ. o.—2 kolej: złotą nitką ciągle naprzemian: 1 słup. w następ. ocz., 2 pow. ocz., 2 o. opuścić.—3 kolej: czarnym kordonkiem, ciągle 1 ściąg. łańc. o. w następ. o.—4 kolej: 1 ściąg. łańc. o. w nast. o., potem ciągle naprzemian: 1 pow. o., 1 ściąg. o. w 3 z rzędu o. Każda gwiazdka złożona z 4-ch większych figur liściowych, wykonanych czarnym kordonkiem i z 4-ch mniejszych, wykonanych złotą nitką, połączonych z sobą a w środku z czarnego kordonku muszka wykonana słupkami okręcaniami. Na figurę liściową z czarnego kordonku wykonać 18 pow. ocz. i złączyć takowe w kółko 1-m ściąg. łańc. o., następ. 17 ściąg. łańc. o. w następ. 17 pow. o., 4 ściąg. łańc. o. w następ. o., potem 18 ściąg. łańc. o. w następ. 18 ściąg. o., 2 ściąg. łańc. o. w następ. ściąg. ocz., poczem 20 ściąg. łańc. o. w następ. 20 o., 3 ściąg. o. w następ. o., 1 ściąg. o. w następ. o. Nitkę umocować i obciąć. Każdy mały listek ze złotej nitki jak następuje: 7 pow. o. złączyć w kółko 1-m ściąg. łańc. o., potem 5 ściąg. o. w kółko * 1 sł. okręcać 7 razy, od * powtórzyć jeszcze 2 razy, potem 4 ściąg. o. w kółko i 1 ściąg. o. łańc. w 1 ściąg. o. Muszki z czarnego kordonku wykonać na kółeczku ¼ c. średnicy 8 razy naprzemian 1 ściąg. o. w kółko, sł. okręcać jak wyżej opisany, na koniec 1 ściąg. łańc. o. w 1 ściąg. o. Tym samym sposobem wykonać muszki brzeżne. Odwrotna strona roboty przedstawia część zewnętrzną, na co należy zwrócić uwagę przy łączeniu figur.

Suknia z fularu, krepy jedwabnej i gipiury.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 31.

Suknia z fularu koloru „mauve“ w deseń ciemniejszy, chusteczka i rękawy z krepy jedwabnej tegoż koloru. Stanik i wierzchnia krótka spódnica z czarnej koronki. Pasek dżetowy.

Suknia z materiału krepowanego ozdobiona pasmanterią

Rycina Nr 7 i 3 w Bl. Nr 31.

Suknia z materiału wełnianego krepowanego koloru jasno - popielatego. Kaptanik, pasek, dolna część rękawów i otoczenie spódnicy z czarnej jedwabnej pasmanteryj.

Suknia dla panny od 14—16 lat.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 31.

Suknia z materiału wełnianego w pasy białe i niebieskie, zapinana w tylnej części i złożona z spódnicą skrajanej razem ze stanikiem i gorsecika. Wykończyć całość bluzka koronkowa układana w fałdy i koronkowe rękawy wychodzące z pod bufiastych. Kokardy na ramieniu z wstążki jedwabnej niebieskiej 5 centimetr. szer.



Nr 4. Sortie de bal z krepy chińskiej (do ryc. Nr 45 w Bl. Nr 31). Krój fig. I—IV. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 5. Suknia dla młodej osoby (façon bébé) (do ryc. Nr 34 w Bl. Nr 31). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 41—51.



Nr 6. Suknia z krepy haftowanej ozdobiona koronką.

Suknia i kapelusz dla panienki od 10 — 12 lat.

Rycina Nr 19, 20 i 38 w Bl. Nr 31. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11—16).

Suknia z materiału welnianego koloru piaskowego, ozdobiona koronką gipiurową koloru żółtawego. Skrajając z podszewki fig. 11 jedną część złożoną wzdłuż środka, podług fig. 13 i 14 z materiału; fig. 12 i 15 po dwie części, ale w fig. 15 należy przypuścić w górze materiału na 2 c. Przednie części z podszewki pokryć materiałem i koronką od górnego brzegu po za linię; wykonać zaszewki, przednie części wyłożyć wzdłuż linii zgięcia, zmarszczyć takowe od * do * i przymocować do podszewki w sposób, ażeby się krzyżowały i miejsca oznaczone * a jak materiału tak podszewki przypadają jedno na drugie. Fig. 15 w górze wyłożyć na 2 centim. szer.,

zmarszczyć wzdłuż linii, tworząc tejsze szerokości główkę, ułożyć w fałdy, trafiając na kropkę i przyszyć przedtem połączone boczki i plecy podług cyfr i znaków. Rękawy wykonać podług ryc., przybrać koronką, falbanką marszczoną 6 cen. szer. nieco zwężaną ku pasce. Spódnice 60 c. wysokości wykonać z satinki i pokryć materiałem, zakończonym w dolnej części dwoma obrąbkami i koronką 11 cen. szer. Pasek pokryty koronką.

Kapelusz z pleśni słomianej żółtej, przybrany wstążką 5 c. szer.

Majtki dla panienki od 4—6 lat.

Rycina Nr 25 w Bl. Nr 31. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVIII, fig. 77).

Skrajając z szifonu fig. 77 dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu przedniej części. Dolną część zaopatrzyć w trzy drobne zakładki, na co należy przypuścić przy krajaniu materiału. Otoczyć falbanką haftowaną 3 cent. szer. i każdą część zeszyć od 73 do 74 a przednie od 74 do 75 i od 74 do 76. Po bokach wykonać nacięcia i wykończyć takowe zwyczajnie. Przednie części zmarszczyć od * do 75, tylne wzdłuż górnego brzegu; pierwsze wszyć w pasek 3 c. szer. a 35 c. długi, drugie zaś w takiż pasek 35 c. długi. Zaopatrzyć w dziurki i w guziki.

Spódnica nocna dla dziecka od 1—3 lat.

Rycina Nr 29 w Bl. Nr 31. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 69—72)

Skrajając z półbatystu fig. 69 i 70, tę ostatnią z materiału podwójnie złożonego po jednej części; fig. 72 dwie części złożo-



Nr 7. Suknia z materiału welnianego i „surah“

ne wzdłuż środka, ale fig. 69 należy przydłużyć w kierunku strzałki stosownie do potrzeby, i w dolnym brzegu przypuścić materiału na obrąbek 3 cent. szer., po połączeniu stanu podług cyfr, wykonać w tylnej części wzdłuż podwójnej linii nacięcia, do lewego brzegu przyszyć listewkę z guzikami a do prawego z dziurkami. Przednią część zmarszczyć od $\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{2}$ na 17 c. a każdą tylną na 8 c. i wszyć karczek zapinany z tyłu na guziczki. Kołnierzyk ozdobić hafcikiem i cent. szer. i wszyć od 61 do 62. W rękawach wykonać nacięcia, zmarszczyć od $\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{2}$ a dolny brzeg wszyć w mankiety 16 centim. długi, a $3\frac{1}{2}$ centim. szer., wykończyć podług ryc. ścięciem rybniej łuszczyki odpowiednio do kołnierzyka i wązkim szlaczkiem haftowanym.



Nr 8. Ubranie z żakiem dla chłopczyka od 4—6 lat (do ryc. Nr 18 w Bl. Nr 31).



Nr 9. Suknia z muszlinu welnianego ozdobiona koronką i wstążką.

Nr 10. Suknia z półwójną spódnicą.

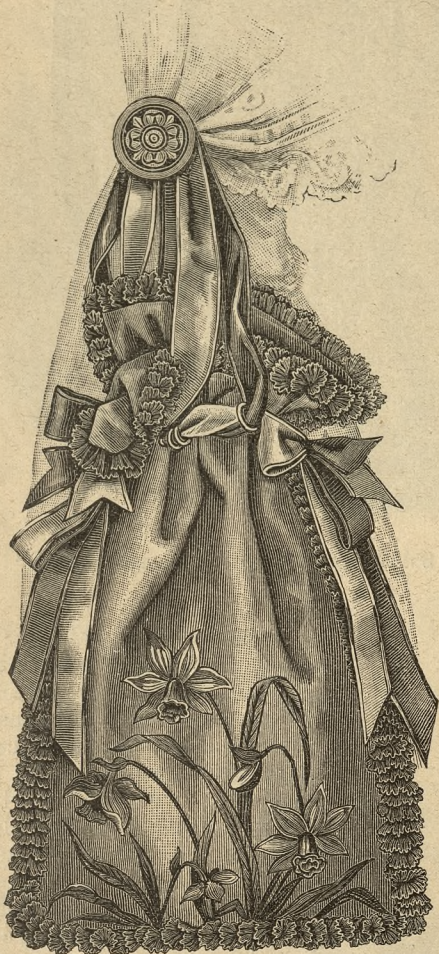


Nr 11. Przednia część sukni dla panienki od 5—7 lat (do ryc. Nr 13 w Bl. Nr 31).

Przepisy gospodarskie.

Zimne danie z poziomek i śmietany

Wylać rondel wodą i wysypać cukrem. Na to ułożyć biszkopeiki zwyczajne małe, zakładając kawałkami dziury, skropić dobrze arakiem, posypać czerwonymi poziomkami. Mieć ubitą kwaśną młodą śmietanę z cukrem, polać dość suto na poziomki.



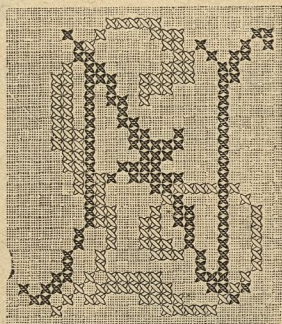
Nr 15. Woreczek do robot ozdobiony haftem. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XXII, fig. 87).

ki i znowu układać biszkopeiki a pokropiwszy znowu sypać poziomki i lać śmietanę, w której powinno być dużo cukru, bo by poziomki kwaśne zostały. Takich warstw powinno być najmniej trzy a na wierzchu przykryć znowu biszkopeikami, wynieść do lodowni, a podając wyrzucić na półmisek okrągły, na wierzeh posypać cukrem i położyć na środku łyżkę bitej śmietany, w którą powtykać symetrycznie kilka poziomek.

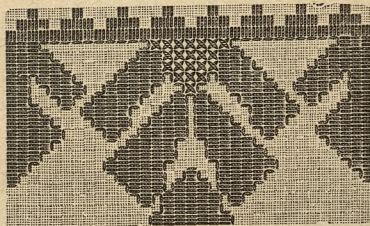
L. C.



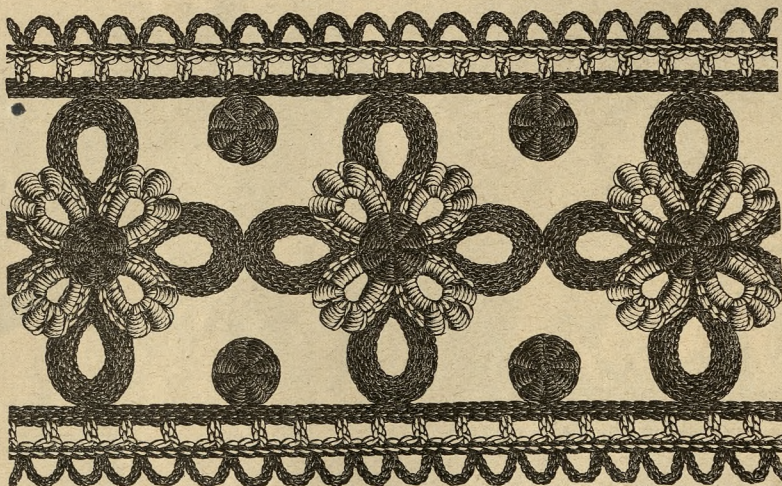
Nr 12. Kapelusz dla młodej osoby.



Nr 13. Monogram. (robota krzyżowa).



Nr 14. Deseń na szlak do krzesła
Nr 16. Ścieg płaski, krzyżowy i Holbejn'a. Ponsowy albo niebieski.



Nr 17. Pasmanterya wykonana szydełkiem.

Obiad higieniczny.

1. Zupa rumiana.
2. Paszteciki w naleśnikach.
3. Sztuka mięsa à la Radecki.
4. Pieczeń barania à la sarna.
5. Suflet z poziomek.

DOŚWIADCZENIA PRAKTYCZNE.

Robiąc makaron, na funt maki brać cztery jaja, bo tyle funt maki zabierze, jeżeli jaja małe to pięć a nawet sześć, szczególnie jeżeli mąka sucha.

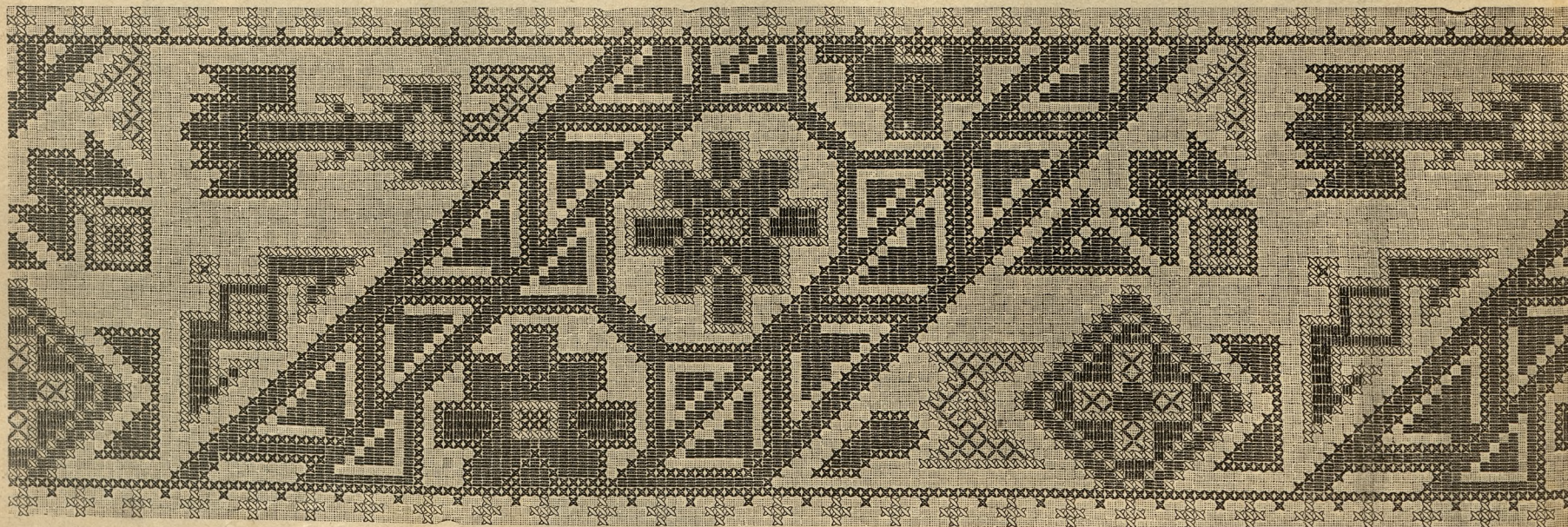


Nr 16. Krzesło ozdobione szlakiem haftowanym. (do ryc. Nr 14 i 18).

Kości zbierane w kuchni i wysuszone palą się jak drzewo a nawet jak drzazgi.

U w a g a.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.



Nr 18. Deseń na szlak do krzesła Nr 16. Ścieg płaski, krzyżowy i Holbejn'a. Niebieski i żółty,